

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 28-go kwietnia 1945r.

Rok VII. Nr. 17

POLACY W NIEMCZECH

Wyzwolenie krajów okupowanych i w jeszcze większej mierze uwalnianie jeńców i niewolniczej siły roboczej trzymanej przez Niemców stwarza zagadnienia, które być może wywrą nieoczekiwany wpływ na oblicze Europy jutra. Wszystkie kraje staną przed olbrzymimi zadaniami repatriacji i odbudowy.

W miarę posuwania się wojsk alianckich winniśmy być przygotowani na ratowanie ludności polskiej w Niemczech. Jest to zadanie ciężkie, tym bardziej, że zastaje nas mało przygotowanych. Pewnym usprawiedliwieniem jest tu w ogóle brak przygotowania u Aliantów do ogarnięcia mas wędrującej ludności.

Ludność polska w Niemczech dzieli się na parę kategorii. Każda z nich ma inne możliwości i potrzeby, każda z nich wymaga posłania na teren Niemiec inaczey przygotowanych delegatów. Różnice są przede wszystkim natury prawnej, dalej zaś materialnej.

Pierwsza grupa to jeńcy. Ale i ci nie stanowią jednolitej całości — wojska alianckie traktują ich rozmaicie, zależnie od kampanii, w których brali udział.

Najprostszą jest sprawą z polskimi jeńcami wojennymi, którzy służyli w Armii Polskiej w Wielkiej Brytanii lub we Włoszech. Przede wszystkim wielu z nich zna mniej lub więcej język angielski, noszą wszyscy angielskie mundury. Ci przekazywani są bezpośrednio władzom brytyjskim, korzystają z praw i przywilejów żołnierzy alianckich, podlegając ich statutowi prawnemu. Mając przy tym możliwość porozumienia się z Anglosasami, automatycznie znajdują się z powrotem pod opieką Rządu Polskiego. Wydaje się, że dla nich nawet nie potrzeba budować organizacji przejmującej z rąk alianckich. Wystarczy w obozach zbórnych uwolnionych jeńców oficer łącznikowy dla ich powitania i podarki P.C.K. lub Y.M.C.A., jak dla uwolnionych jeńców wszystkich armii.

Druga kategoria jeńców polskich — to żołnierze Armii Polskiej z Francji z r. 1940. Są oni traktowani przez wojska alianckie tak, jak jeńcy francuscy i odsyłani do Francji, gdzie mogą się nimi zaopiekować zainstalowane tam już polskie władze wojskowe, które winny mieć swych oficerów łącznikowych przy francuskich obozach przejściowych.

Jest to rzecz bardzo ważna z dwu względów. Przede wszystkim władze francuskie chętnie widzą zaciąganie Polaków do Legii Cudzoziemskiej. Wielu Polaków, szczególnie we Francji Południowej, którzy walczyli w partyzanckich oddziałach "Maquis" podpisało zgłoszenie do Legii, sami nie wiedząc kiedy. Niektórzy n.p. w przekonaniu, że to zgłoszenie do Polskich Sił Zbrojnych.

Drugim momentem, przez który możemy stracić ludzi, są rosyjscy oficerowie łącznikowi, działający na terenie całej Francji. Niektórzy nawet mówią po polsku i występują jako Polacy. Zdarzały się już wypadki ucieczki Polaków z rosyjskich obozów we Francji, zaciągniętych tam zwykłym oszustwem.

Trzecia wreszcie, największa i najbardziej trudna do zorganizowania, to kategoria jeńców z Kampanii Wrześniowej z 1939 r. Są ich cztery rodzaje, z których każdy jest inaczey traktowany przez alianckie władze wojskowe.

Najprostszą sprawą jest z oficerami, uwolnionymi z Oflagów. Podlegają oni statutowi prawnemu uwolnionych jeńców alianckich i normalnie zostają przesyłani do wyznaczonych przez nasze władze ośrodków. Tak samo ranni i chorzy, znajdujący się w szpitalach dla jeńców i wreszcie żołnierze, znajdujący się w obozach żołnierskich, w Stalagach. W każdym większym Stammlager jest ich jeszcze kilkudziesięciu lub w najlepszym razie — kilkuset.

Większość z nich jest możliwie ubrana dzięki pomocy M.C.K. i P.C.K. Wyżywienie ich zapewniają alianckie władze wojskowe. Tak samo transport do odpowiednich ośrodków polskich. Dopiero tutaj rozpoczyna się istotne trudności. Większość tych jeńców jest ciężko chora. Olbrzymi procent gruźlicy, zaburzenia nerwowe, zniszczenie organizmu od głodu lub nadmiaru pracy — wymagać będą powstania olbrzymich ośrodków leczniczych. Zdaje się, że szkielet tej organizacji istnieje już we Francji. Natomiast brak personelu, pomieszczeń, pomocy lekarskich, środków leczniczych

i wreszcie żywności.

Druga grupa jeńców wrześniowych — to ci, którzy rozrzućeni są małymi grupami po pracach w całych Niemczech. Przy każdej sposobności uciekają z zamkniętych pomieszczeń i wędrują na spotkania wojsk alianckich. Nie mają oni nic prócz dziurawych mundurów i drewnianych sabotów, są głodni i wyczerpani, choć na ogół w lepszym niż poprzednia grupa stanie zdrowia. Władze alianckie organizują dla nich obozy, t.zw. "displaced persons", nie posiadające praw wojskowych.

Tam dopiero następuje badanie i ustalanie kim są. I tutaj wyłania się tragedia jeńca polskiego. W braku polskich oficerów łącznikowych, badanie często przeprowadzają oficerowie rosyjscy. Oni decydują kto jest żołnierzem a kto nim nie jest, kto jest Polakiem a kto "nazistą". Ale nie dość na tym. Każdy kto się urodził na wschód od linii Curzona, uznany jest za Rosjanina i wysyłany do obozów rosyjskich, dla "repatriacji".

A oni dobrze wiedzą co to znaczy. Listy z domów, uciekinierzy

z za dawnej linii Mołotow-Ribbentrop, jeńcy rosyjscy i robotnicy przymusowi z Ukrainy przede wszystkim — o wiele lepiej niż propaganda niemiecka uświadomiła im, co ich czeka. To też uciekają jak mogą, tułając się o głodzie i chłodzie, uciekając od żołnierzy alianckich, bo ci znów oddadzą ich w te same ręce. Nie mogąc zaś porozumieć się z Anglosasami, w razie spotkania narażeni są na "usługi" tych, którzy to mogą zrobić. Niestety przeważnie Rosjan, nie Polaków. To jest los jeńców. I to jest los wszystkich Polaków na ziemi niemieckiej obecnie. A jest ich tam parę milionów.

Jeńców wojennych Polaków podlegających postanowieniom konwencji genewskiej jest w Niemczech około 60 tysięcy. Tylko ci są w mundurach i podlegają jurysdykcji Wehrmachtu, zresztą od 1940 roku na podstawie tajnych rozkazów O.K.W. podlegają specjalnemu traktowaniu, wyodrębniającemu ich od jeńców innych narodowości, zgodnie z polityką władz Rzeszy. Między innymi ciekawy rozkaz tajny O.K.W. z maja 1941 roku nakazuje bez-

względne odłączenie Polaków od innych narodowości, gdyż są oni elementem destrukcyjnym — w pojęciu niemieckim — szerzącym opór i sabotaż. Następstwem tego było wywiezienie z okęgów obejmujących obozy żołnierskie całej inteligencji. Skupiono ją w specjalnych, zamkniętych obozach karnych, popularnie nazwanych "mord-commando", na północy Niemiec.

Około 500 tysięcy żołnierzy zmuszono w latach 1940 — 42 do podpisania t.zw. "deklaracji na cywila". Zatrudniono ich potem w całych Niemczech jako robotników cywilnych. Tracili nawet te ograniczone prawa konwencji genewskiej, tracili pomoc Czerwonego Krzyża, stawali się niewolniczą masą siły roboczej, podległej policji. Zwyczajnie tracili prawa ludzkie, czego znakiem było noszenie żółto-liliowego znaczka "P" na piersi. Tę rzeszę bezustanku powiększały transporty siły roboczej przywożone z Polski — dziś już nie mniej jak dwa miliony ludzi w siłę wieku, przebywających od lat w niewoli, od której gorszą znamy tylko jedną.

I całą tą rzeszą musi się zająć wojsko, gdyż póki istnieje militarna okupacja aliancka, tylko wojsko ma głos we wszystkich sprawach. To też miejmy nadzieję, że wkrótce już wyruszą i nasi oficerowie łącznikowi tam gdzie są najbardziej potrzebni.

Tylko trzeba nam jasno postawić cele i dążenia. I nie tylko wymagać żywienia tej wielkiej rzeszy. Możemy zorganizować nieocenioną pomoc natury wojskowej. Wyzwoleni Polacy mogą pomóc walczącym armiom i dać z siebie tyle, co żołnierz polski. Mogą pracować na swój chleb odbudowaniem tak potrzebnych linii komunikacyjnych. Mogą również zabezpieczyć je lepiej, niż ktokolwiek inny. Któż lepiej od nich może znać organizację terrorystyczną Niemców, zwaną "Werwolf". Znają oni ludzi i ich zapatrywania w miejscowościach, w których pracowali. Znają tysiące tajnych magazynów broni, fabryki i małe warsztaty, które mogą produkować po cichu materiał sabotażowy. Wiedzą, kto jest członkiem partii, ile i jaką posiada broń i gdzie mógł ją ukryć.

Z drugiej strony, ci którzy nie mogą wracać, mogliby i nadal pracować tam gdzie uprzednio. Pracować, by dopomóc aliantom w dziele odbudowy Europy i poto, by im zapłacono to, co im się należy za lata pracy. Gdyby choć tylko otrzymali potrącenie n.p. na ubezpieczenia społeczne, z których nie wolno im było korzystać i wyrównanie do plac robotników niemieckich, od których wiele więcej pracowali, mieliby z czym wracać, by odbudować swój zburzony dom. Jak i w jakiej formie to można zrobić — nie wątpię, że znajdzie się po temu możliwość. Tylko trzeba ku temu dążyć.

I nie zapominać, że radio jest środkiem, którego każdy Polak w Niemczech nie omieszką słuchać. Ze aparaty radiowe są w Niemczech wszędzie i że Polacy proszą tam o jakiegokolwiek wskazówki w powstałym po przejściu frontu zamęcie.

I jeszcze o tym pamiętać, że obowiązuje nas wszystkich tutaj, jak największa ofiarność na rzecz tych nieszczęśliwców, którzy wychodzą po latach niewoli na światło wolności.

JAN KURZAWA

Dwa apele

Dowódca Jednostek W.P. w W. Brytanii gen. J. Głuchowski wystosował apel do żołnierzy o dobrowolne składki na fundusz pomocy dla Polaków w Niemczech. Apel brzmi m.inn.:

"Wojska brytyjskie i amerykańskie zajmują nowe terytoria Niemiec i na nich znajdują się dziesiątki i setki tysięcy Polaków, dzieci, kobiet i mężczyzn. Są oni w strasznych warunkach, głodni, bez ubrań — pozbawieni wszystkiego.

Naszym obowiązkiem jest zrobić wszystko, aby im pomóc.

Wzywam Was do wypełnienia tego obywatelskiego obowiązku".

Datki na ten cel można przysyłać

za pośrednictwem "Polski Walczącej".

* * *
Światowy Związek Polaków z Zagranicy organizuje akcję wysyłki książek dla Polaków na terenach niemieckich. Sprawa dostarczenia masom byłych zesłanych i jeńców polskiego słowa pisanego, którego byli pozbawieni przez lata niewoli, jest jednym z najważniejszych zagadnień opieki nad nimi.

Ponieważ aktualne zapasy książek polskich w Wielkiej Brytanii są ograniczone, a wiele nakładów zostało w ogóle wyczerpanych, Światowy Związek Polaków z Zagranicy zwraca się do Polaków w Wielkiej Bry-

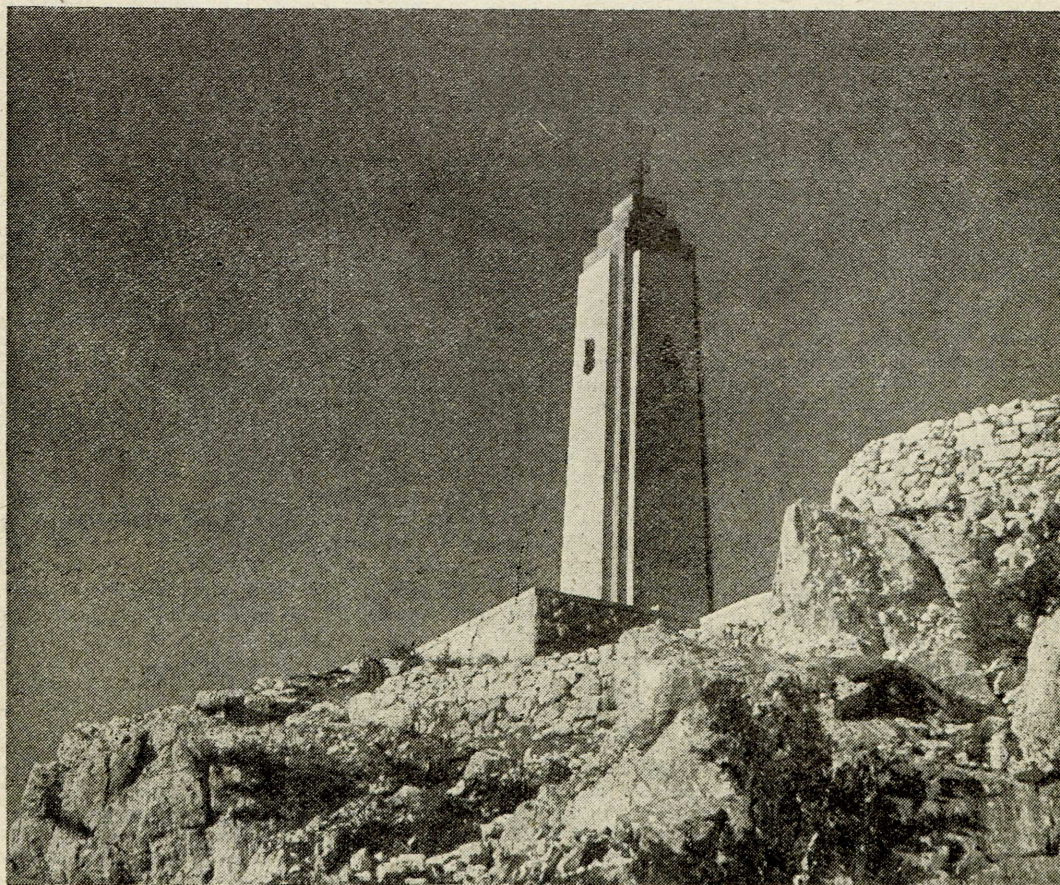
tanii z prośbą o ofiarowywanie wszelkiego rodzaju posiadanych książek polskich zarówno z zakresu literatury, jak i z dziedziny spraw politycznych i społecznych. Książki te niezwłocznie będą przekazywane do polskich organów opieki, działających na terenie Niemiec.

Światowy Związek przyjmuje również wszelkie dary pieniężne na zakup książek dla Polaków w Niemczech, w formie Postal Orders lub Money Orders.

Wszelkie przesyłki kierować należy na adres:

World League of Poles Abroad, 38, Wilton Crescent, London, S.W.1.

Pomnik żołnierz Dywizji Strzelców Karpackich poległych na Monte Cassino



POD ZNAKIEM SAN FRANCISCO

Nie wiadomo jak historia oceni konferencję w San Francisco, ale niewątpliwie przeżyjemy w bieżącym tygodniu zdarzenie o historycznej wadze. Przedstawiciele ponad czterdziestu narodów zjednoczonych spotykają się dla przygotowania wspólnego projektu organizacji pokojowej świata. W przeddzień ostatecznego złamania oporu Niemiec zwycięskie państwa przystępują do stworzenia nowego porządku. Ten nowy porządek powstaje na gruzach kończącej się epoki, która w historii Europy znacząco krwawe rządy Niemiec.

Brzmi to wszystko pięknie i chwila jest niewątpliwie wzniosła, niestety rzeczywistość nie pozwala żyć tych wszystkich różowych nadziei, którym oddawaliśmy się przez tyle lat wojny w oczekiwaniu na tę "osobliwą chwilę" zwycięstwa. Atmosfera towarzysząca Konferencji daleka jest od tego zapału i wiary, których można się było spodziewać w przeddzień zakończenia wojny. Składa się na to wiele przyczyn.

Jedną z nich jest powszechne przeświadczenie o niedoskonałości projektu światowego bezpieczeństwa, opracowanego w Dumbarton Oaks przez wielkie mocarstwa. Delegaci czterdziestu t.zw. mniejszych narodów muszą odczuwać pewną bezsilność. Wiele narodów ma w stosunku do niego daleko idące zastrzeżenia i poprawki. Francja — jak wiadomo — odmówiła nawet wystąpienia w roli mocarstwa zapraszającego, zaznaczając w ten sposób niechęć do przyjmowania odpowiedzialności za Dumbarton Oaks i zastrzegając sobie prawo krytyki. Ale poprawki wnoszone przez — dajmy na to — czterdziestu narodów mniejszych, będą miały szansę przyjęcia jedynie wówczas, jeśli zgodzą się na nie jednomyślnie — cztery główne mocarstwa. Projekt światowego bezpieczeństwa może być więc zmieniony jedynie za zgodą jego autorów.

PRAWO VETA

Tu dochodzimy do najsłabszego i najbardziej krytykowanego punktu całego projektu. Wszelkie decyzje znajdujące się w rękach rady bezpieczeństwa, złożonej z wielkich mocarstw. Każde z tych mocarstw posiada prawo weta /sprzeciwu/ przeciw decyzjom pozostałych członków rady. Innymi słowy: światowa organizacja bezpieczeństwa nie może podjąć żadnej akcji przeciw napastnikowi czy narzucić rozstrzygnięcia sporu, jeśli jedno z mocarstw zgłosi sprzeciw. Czyli można sobie wyobrazić taką sytuację, w której jedno z mocarstw dokona napasliwej skierowanej przeciwko jednemu z członków organizacji narodów, po czym zgłosi na radzie bezpieczeństwa sprzeciw, unicestwiając możliwości podjęcia przeciwko sobie jakiegokolwiek akcji.

Ta bezkarność wielkich mocarstw będzie oczywiście w trakcie konferencji przedmiotem krytyki ze strony przedstawicieli wielu narodów. Ponieważ wojen nie toczą małe narody, tylko stojące za nimi wielkie mocarstwa — jest rzeczą jasną, że projekt

taki musi budzić wiele niepokoju. Jego obrońcy szermują tak zwanymi realistycznymi argumentami. Według nich sprawa wojny i pokoju — i tak zależy wyłącznie od dobrej woli wielkich mocarstw. Świat będzie żył w pokoju, jeśli Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Rosja i Chiny zdołają utrzymać zgodę. Jest w tym niewątpliwie wiele prawdy, ale pocóż w takim razie cała procedura międzynarodowa, którą opracować ma San Francisco — jeśli jedno państwo może wszystko zniweczyć. Liga Narodów, mimo swych pięknych dążeń, była organizacją słabą, pozbawioną środków wykonawczych. Pragnieniem narodów zjednoczonych w wojnie przeciwko niemieckiej agresji było stworzenie nowej, nadzórnej organizacji światowej, wyposażonej w potężne środki, ograniczające w pewnym stopniu suwerenność jej członków i kierującej się zasadami międzynarodowej sprawiedliwości, jaka wymierzana byłaby według tych samych miar możliwych tego świata, jak i maluczkim. Jeśli nie dorosiliśmy jeszcze do takich form nadzórnych, to nie jest to z pewnością winą mniejszych narodów, które w dzisiejszej sytuacji szukają musza bezpieczeństwa i obrony przed przemocą. Wojna stała się dziś monopolem wielkich mocarstw, dla małych narodów jest ona przedsięwzięciem zbyt kosztownym, by mogły sobie na nią pozwolić.

"ZIARNO NIEZGODY"

Ktoś powiedział, że nieobecność Polski na konferencji w San Francisco stanowić może tragiczny znak dla przyszłej organizacji pokojowej świata. Powiedzenie to nie jest bynajmniej tylko jednym z tych pięknych zwrotów, którymi często posługuje się publicystyka, lecz zawiera w sobie wiele prawdy. Organizacja pokojowa, która opiera swe istnienie wyłącznie na absolutnej zgodzie wśród wielkich mocarstw, zawiera już w samym swym pojęciu ziarno niezgody między tymi mocarstwami. Państwem, które uniemożliwiło kompromis jest niewątpliwie Rosja.

Jak wiadomo, deklaracja krymska, ignorując prawowity rząd polski, zapowiedziała stworzenie nowego "tymczasowego rządu jednoci narodowej", powierzając to zadanie komisji, złożonej z dwu ambasadorów w Moskwie i komisarzy dla spraw zagranicznych, p. Mołotowa. Przebieg obrad tej konferencji osłonięty był najściślejszą tajemnicą, jak jednak wynikało z doniesień, które przedostały się do prasy — Rosja odrzucała systematycznie wszelkie kandydatury Polaków "z kraju i z poza jego granic".

Następnie przed czterema tygodniami w tajemniczych okolicznościach zniknęła delegacja złożona z piętnastu przywódców Polski podziemnej i po całym świecie rozszalała się pogłoska, że rząd rosyjski prowadzi z tą delegacją odrębne rokowania, nie informując o tym swych brytyjskich i amerykańskich partnerów.

Równocześnie w ciągu tego czasu

— między ogłoszeniem deklaracji krymskiej a konferencją w San Francisco — rząd rosyjski zwrócił się dwukrotnie do rządu Stanów Zjednoczonych z żądaniem zaproszenia komitetu lubelskiego na konferencję w San Francisco. W obu wypadkach żądania te zostały odrzucone przez Stany Zjednoczone, jako niezgodne z postanowieniami krymskimi. Rząd brytyjski w pełni poparł stanowisko Ameryki.

Zawarcie przez Rosję "paktu przymierza i wzajemnej pomocy" z Lublinem było niewątpliwie jeszcze jednym aktem, wskazującym na to, że rząd rosyjski nie zamierza wykonać decyzji krymskich w sprawie Polski i zdecydowany jest utrwalić dogodne mu rządy Komitetu Lubelskiego.

46 A NIE 47

W tej sytuacji, ponieważ z czterdziestu sześciu narodów reprezentowanych w San Francisco, jedno mocarstwo — Rosja — nie uznaje legalnego rządu polskiego, Polska nie jest reprezentowana na tej konferencji narodów zjednoczonych. Oto próbka prawa weta, zastosowanego w praktyce.

Nieobecność Polski na konferencji w San Francisco jest tragicznym paradoksem, który graniczy wprost ze śmiesznością. Cały nonsens tej sytuacji polega na tym, że wśród narodów zwyciężczych w wojnie z Niemcami nie zasiada naród, który pierwszy czynnie przeciwstawił się napasliwej niemieckiej i od tego czasu walczył nieustannie na wszystkich możliwych frontach. Nie mamy nie przeciw Turcji, czy Egiptowi, ale przedstawicielstwa tych krajów muszą się czuć nieco zażenowane, spoglądając na pustą fotel Polski. Naród, który pierwszy padł ofiarą tej wojny i któremu po strasznych zniszczeniach wojennych szczególnie zależy na trwałym pokoju — został wykluczony ze społeczności narodów, dla których wspólnej sprawy dokonał tak wielu poświęceń.

Tym niemniej musimy się pocieszać tym, co mamy. Stanowczemu stanowisku Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii zawdzięczamy, że Polska nie będzie reprezentowana w San Francisco przez ludzi, nie mających nie wspólnego z dążeniami narodu polskiego.

OŚWIECIM — BUCHENWALD

W Buchenwald przebywało około 75.000 więźniów. W styczniu r.b. zmarło, według statystyk dokładnie prowadzonych przez Gestapo, 6.477 osób, w lutym — 5.614, w marcu — 5.479. W pierwszych dniach kwietnia obóz został uwolniony przez Amerykanów, przed oswoobodzeniem jednak zdążyło zginąć dalszych 915 osób. Mra zresztą nadal, gdyż mimo największych wysiłków nie ma sposobu utrzymania ich przy życiu.

W Belsen więziono 28.000 kobiet, 11.000 mężczyzn i 500 dzieci. W obozie panowały tyfus i gruźlica. W środku obozu — gdy wkroczyli tam żołnierze brytyjscy — leżał stos

trupów długości 80 jardów, szerokości 30 jardów i wysokości 4-ech stóp. Wśród więźniów — stwierdza lekarz wojskowy w swym raporcie — kwitło ludożerstwo. Ponieważ trupy pozbawione były ciała — wyzerano im serce, nerki i wątroby.

Oto obraz dwu — z wielu — obozów koncentracyjnych, w których Niemcy torturowali więźniów licząc, na narodowości, wśród nich bardzo poważny odsetek Polaków.

Wydaje się, że dopiero teraz, u schyłku wojny, społeczeństwo brytyjskie uwierzyło w znane nam od początku wojny wiadomości o dzikim terrorze, stosowanym przez Niemców w Europie. Na początku 1942 roku ukazała się polska "Czarna Księga" — dokument doskonale opracowany zarówno pod względem treści, jak i formy. Ta wstrząsająca książka nie znalazła niestety takiego rozgłosu, jaki należało przewidywać. Wiele osób spoglądało na nią z powątpiewaniem, jej autorów posądzano o... szlachetną przesadę. Społeczeństwo tak wysoce cywilizowanego kraju jak W. Brytania — nie łatwo jest uwierzyć w ten cały bezmiar upodlenia i zbrodni.

Dziś jednak nikt nie ma już wątpliwości. Prasa brytyjska, która zawsze stara się oszczędzić czytelnikom widoku okropności, drukuje dziś na naczelnych miejscach wstrząsające fotografie żywych szkieletów, wypełniających niemieckie obozy koncentracyjne. Teraz dopiero Brytyjczycy mogą sobie wyobrazić Oświęcim i Majdanek, o których słyszeli od Polaków tak wiele.

ROSJANIE W BERLINIE

"Zdobylem Charlottenburg i nasze czołowe oddziały przecięły drogę do Poczdamu. Po odrzuceniu sił niemieckich, atakujących z Berlina — wdaliśmy się do miasta". Meldunek ten otrzymał od jednego ze swych podkomendnych nie marsz. Żukow — jak można by się spodziewać — lecz Kutuzow, przed 132 laty.

Dziś Rosjanie są znów w Berlinie. Gen. Bradley, który już przed 10 dniami poważnie zagrażał stolicy Rzeszy, złożył znajomienne oświadczenie, z którego wynikało, że nie zamierza iść na Berlin. Oświadczenie to zapowiadało uderzenia w innych, nieznanych kierunkach, ale nie ulega wątpliwości, że Niemcy mogli z niego wywnioskować, iż całe niebezpieczeństwo grozi ich stolicy od Wschodu.

Bieżący tydzień rzeczywiście obfituje w wydarzenia o historycznej wadze. Konferencja w San Francisco, wkroczenie wojsk rosyjskich do Berlina, oczekiwane nawiązanie łączności pomiędzy sprzymierzonymi armiami, postępującymi z zachodu i ze wschodu.

Zdobycie stolicy Rzeszy nie kończy jeszcze wojny. Nie kończy jej również połączenie się obu sił sprzymierzonych, choć od tej chwili nie może już być mowy o zorganizowanym, centralnie kierowanym oporze niemieckich sił zbrojnych. Niemcy niewątpliwie próbowali utrzymać ko-

rytarz między Łabą i Odrą. Na wschodzie użyte zostały do obrony poważne siły. Na zachodzie zdołali nawet w pewnym momencie zlikwidować jeden z dwu przyczółków alianckich na niemieckim brzegu Łaby. Korytarz ten nie stwarzał im jednak wielu możliwości. Był on zbyt wąski dla podjęcia poważniejszego manewru, zbyt łatwy do bombardowania z powietrza, paraliżującego wszelkie ruchy.

Jego pęknięcie musi mieć nieobliczalne następstwa dla oporu niemieckiego — jeśli trwać on ma nadal. Nie będzie to już opór — jak podkreślaliśmy — centralnie kierowany, powiązany w jakąś celową całość. Wojna nabierze raczej charakteru oczyszczania poszczególnych, olbrzymich worków i zamieni się w szereg odrębnych kampanii.

POŁUDNIOWA REDUTA

Pozostanie przede wszystkim reduta południowa. W bezpośrednim rejonie Berlina walczyło około 40 dywizji niemieckich. Część z nich prawdopodobnie zdołała spłynąć na południe. Południowo-zachodnie Niemcy broniłone są przez ponad 20 dywizji. Dalszych 20 dywizji walczy we Włoszech, 10 w Jugosławii i około 30 dywizji zgrupowanych zostało wokół klina wiedeńskiego. Wynika więc z tego, że na południu Niemcy grupują najpoważniejsze siły i że tam właśnie będą oni próbowali przedłużyć swój koniec w oczekiwaniu na jakieś nieprzewidziane wydarzenia polityczne. Nie wszystkie te jednostki niemieckie przedstawiają wielką wartość — wiadomo jednak, że jest wśród nich wiele formacji S.S. W ciągu ostatnich miesięcy Himmler rozszerzył zaciąg do ochotniczych dywizji S.S., zwiększając ich liczbę z 28-u do 36-u.

Drugą potężną redutą, być może łatwiejszą jeszcze do obrony, jest Norwegia, skąd Niemcy, mimo tak tragicznej sytuacji w Rzeszy nie wyewakuowali ani jednej jednostki. W Norwegii rozporządzają oni potężnymi siłami.

W BOLONII I POD EMDEN

W tych ostatnich rozstrzygających dniach wojny jednostki polskie wyróżniają się na obu frontach sukcesami.

Do Bolonii pierwsi wkroczyli Polacy po oskrzydleniu uprzednio tego miasta od północy. Zdobycie Bolonii jest jeszcze jednym ogniwem w łańcuchu zwycięskich operacji, przeprowadzonych przez II Korpus na osi Faenza — Imiola — Bolonia.

Tymczasem Dywizja Pancerna na pograniczu holendersko-niemieckim, działająca najwidoczniej w dwu oddzielnych grupach operacyjnych zbliżyła się na lewym skrzydle do ujścia rzeki Ems, na prawym zaś rozszerzyła swój przyczółek po wschodniej stronie Ems, zagrażając od południa powstannemu portowi Emden. Port Emden, podobnie jak i inne porty niemieckie, będzie się najprawdopodobniej bronił do ostatka. Nie należy sądzić, by Dywizja Pancerna została użyta do zadań oblężniczych.

ZASTĘPCA

Czy pozostało jeszcze coś z ongiś niezwalczanej armady powietrznej Hermana Goeringa? Z tej armady, która wyruszyła w 1939 roku na podbój świata?

Nie wiadomo! Resztki *Luftwaffe* cisną się w tej chwili na ciasnej, jeszcze nie zajętej przez wroga przestrzeni Rzeszy między rzekami Odra a Łaba. W ciągu ostatnich dni, nieustannie atakowana przez lotnictwo alianckie, *Luftwaffe* straciła znowu przeszło 1500 samolotów /o wstydzie! — na ziemi... Według wszelkiego prawdopodobieństwa, jest to połowa jej sił.

Traktat wersalski po roku 1918 zabronił Niemcom budowy samolotów. Komisje międzynarodowe pilnie śledziły, czy aby nie powstają z grobów duchy Richthofena, Boelcke, czy Immelmanna. Jednak czy realistów zachodnich nie patrzyły daleko. Te duchy stały żyły w przepojonych żądzą zemsty sercach młodzieży niemieckiej. Chłopcy ci, jeszcze prawie dzieci, przeżyli chwile tryumfu w okrytych chwałą eskadrach półbogów wojny. Nosili, głęboko wryte w mózgiach słowa Manfreda v. Richthofena: "Latać to znaczy żyć". Dlatego, wiedzeni pasją łatania i odwetu, w ciemnych zakątkach Schwarzwald, z groszowych składek, mając tylko dziesięć palców, na karku biedę, lecz w duszach entuzjizm, przystąpili do budowy bezmotorowej floty powietrznej — szybowców. Bo na szybowcach także można latać...

Równocześnie starsi piloci niemieccy rozpyskali się po całym świecie. Pełno ich było w krajach neutralnych Europy i na drugiej półkuli, gdzie pracowali w lotnictwie komunikacyjnym. Także i fabryki niemieckie, wytwórnie doskonałych maszyn bojowych, takie jak Junkers, czy Fokker, nie mogąc wytwarzać w swym kraju, przeniosły się za granicę do krajów neutralnych. W zakładach doświadczalnych tych fabryk pracowali dzień i noc inżynierowie niemieccy, niemieccy mechanicy i piloci-oblatywacze, stare wygi powietrza. Niebawem z tych fabryk wyszły na świat doskonałe typy samolotów transportowych. Jednak wszy-

Nowości lotnicze

stkie te samoloty miały zawsze dwie wersje: cywilna, którą się handlowało i wojskowa — którą ukrywano zazdrośnie...

Niebawem rozluźniły się węzły łączące niedawnych Aliantów i kontrola międzynarodowa w Rzeszy zrelaksowała. Niemcy natychmiast skorzystali z tego. Jednak przystępując do konstrukcji samolotów, dla oczu zagranicy konstruowali tylko typy "awionetek", samolotów "sportowych", "akrobacyjnych" lub też supertransportowców, które mogły wziąć na pokład dużą liczbę pasażerów, lecz także i żołnierzy z pełnym

ekwipunkiem, nie mówiąc o bombach, gdy znów "awionetek" po dodaniu silniejszych motorów i uzbrojenia — można było użyć jako samolotów myśliwskich.

Hitler obejmując władzę doceniał znaczenie lotnictwa. Co więcej — przede wszystkim liczył na lotnictwo. Hitler przystąpił do budowy gigantycznej floty powietrznej z całkiem konkretnym zamiarem: podbicia nia świata i utrzymania go w stałej kontroli. Było to możliwe. Świat, usypiany marzeniami o wiecznym pokoju, rozbroił się zupełnie.

Nadchodził rok 1939. Pewnego

ranka 1500 samolotów rzucił się na Polskę. W rok później niedawni niewinni piloci szybowcowi z Wasseruppe, mili towarzysze zawodów, zdobywając w Belgii forty, uchodzące za nie do zdobycia. 5000 samolotów zmiała Rotterdam. Francja pod uderzeniem bomb załamuje się.

Wkrótce nowych 5000 samolotów wylatuje na podbój Wielkiej Brytanii, lecz tutaj następuje pierwsza porażka. Przyczyną jej leżały w błędach taktycznych oraz w niedociągnięciach technicznych zbyt pośpiesznie budowanej siły powietrznej. Niemcy mieli za mało bombowców.

przy czym były one za słabe, za lekkie, poza tym — nie mieli dostatecznej łączności, ani ostatnich zdobyczy radiotechniki: radiolokacji. Na równi z garstką bohaterów pilotów myśliwskich — Niemców pokonała nad Wielką Brytanią radiolokacja.

Lecz *Luftwaffe* jeszcze wówczas nie uległa. Reorganizuje się i przeobraża. Jej zadaniem w tej chwili jest walka o czas. Inżynierowie niemieccy mają już nowe samoloty propulsyjne i nowe straszliwe bronie w zanadru. Potrzeba im tylko czasu na wykończenie doświadczeń i rzućcie tych broni do masowej produkcji.

Lecz czasu zaczyna brakować. Ameryka wchodzi do wojny z całą swą produkcyjną potęgą. Wielka Brytania zdołała w międzyczasie stworzyć flotę wielkich bombowców. Rzesza jest teraz nieustannie bombardowana: z takim trudem podniesiona o 75% produkcja samolotów znów spada poniżej pierwotnej.

Rusza inwazja Sprzymierzonych na kontynent. Pobita na swych własnych lotniskach, *Luftwaffe* nie jest w stanie bronić się skutecznie. Dowództwo niemieckie decyduje się na krok samobójczy: przedwczesne użycie nowych broni w ich niedoskonałej formie i niedostatecznej ilości. Tak użyte bronie zawiodą, co gorzej — nieprzyjaciół poznaje niebezpieczeństwo i środki obrony. Ani V.1. ani V.2. nie zapobiegnie dalszemu postępowi inwazji.

Dwie olbrzymie ofensywy ze wschodu i zachodu docierają do granic Rzeszy. W nadziei powstrzymania naporu z zachodu, *Luftwaffe* zbiera wszystkie swe siły i rzucił się dnia 1 stycznia 1945 na lotniska Aliantów. Rzeczywiście, zadaje Aliantom straty. Są tak duże, że w ciągu kilku najgorszych dni przewyższają straty niemieckie podczas *Battle of Britain*. Lecz straty anglo-amerykańskie uzupełnione są w ciągu 24 godzin. *Luftwaffe* traci również połowę swych sił, jednak nie może ich już więcej uzupełnić.

Nadchodzi nieunikniona agonia.

M. J. GORDON

Z tygodnia na tydzień

16 kwietnia: Oddziały II-go Korpusu po przekroczeniu rzeki Sillario i zdobyciu Castel Guelfo di Bologna walczą w pobliżu San Pietro.

—N frontie zachodnim oddziały 1 Dywizji Pancerniej dotarły do zatoki Ems w pobliżu Delfzyl.

—Groningen poddało się wojskom kanadyjskim.

—Wojska amerykańskie zdobyły Würzen, oboczyły Lipsk i wkroczyły do Norymbergi.

—Wojska sowieckie rozpoczęły ofensywę na całym froncie.

—Lotnictwo sprzymierzone zatopilo ostatni niemiecki krążownik kieszonkowy "Lützow" w Szwintoujściu.

17 kwietnia: Oddziały II-go Korpusu zdobyły miasteczko Castel di San Pietro. Inne oddziały II-go Korpusu przekroczyły kanał Medici na i zdobyły miasteczko Poggio.

—W zagłębiu Ruhry ustął zorganizowany opór nieprzyjaciela. Düsseldorf poddał się Amerykanom.

—Wojska amerykańskie zajęły Plauen.

—Wojska sowieckie zajęły Zistersdorf o 16 mil na płn. od Wiednia.

18 kwietnia: We Włoszech

oddziały II-go Korpusu przekroczyły kanał Gaiano. Wojska sprzymierzone zajęły Argenta i wkroczyły do doliny Padu.

—Na froncie zachodnim oddziały 1 Dywizji Pancerniej osiągnęły Nieuweschuius o 8 mil od Emden. Wojska kanadyjskie dotarły do Zuider Zee na płn. zach. od Putten.

—Wojska amerykańskie oczyściły Magdeburg z nieprzyjaciela i przekroczyły granicę czeskosłowacką w pobliżu Hof.

—Ogłoszono, że Sprzymierzeni od 6.VI.44 do 16.IV.45 wzięli do niewoli 2.055.575 jeńców niemieckich.

19 kwietnia: Wojska brytyjskie dotarły do dolnej Łaby i ostrzeliwują Hamburg.

—Wojska amerykańskie oczyściły Lipsk i Halle z nieprzyjaciela.

—W Holandii Niemcy wysadzili tamy powodujące zalewy w okolicy Hook of Holland.

—Ogłoszono, że Stany Zjednoczone po raz drugi odrzuciły żądanie Sowietów, by Polska była reprezentowana w San Francisco przez komitet lubelski.

—Wojska sowieckie przekroczyły

rzeke Szprewę w pobliżu Chociebuża i rozszerzyły przyczółek na Odrze na zach. od Kistrzynia.

20 kwietnia: Oddziały II-go Korpusu przepłynęły się przez rzekę Gaiano.

—Wojska amerykańskie zajęły Norymbergę.

21 kwietnia: Wojska sprzymierzone zdobyły Bolonię. Oddziały II-go Korpusu pierwsze wkroczyły do miasta.

—Wojska amerykańskie zajęły pierwsze miasto w Czechosłowacji: Asch.

—Wojska sowieckie walczą na przedmieściach Berlina.

—Ogłoszono, że Sowiety zawarły pakt przyjaźni z komitetem lubelskim.

22 kwietnia: Oddziały 1 Dywizji Pancerniej oczyściły Pappenburg o 15 mil od Emden. Oddziały kanadyjskie ustanowiły mocny przyczółek na kanale Kusten.

—Wojska francuskie zajęły Stuttgart i przekroczyły górny Dunaj w pobliżu Dillingen.

—Wojska sowieckie walczą na ulicach Berlina.

Strasliwe odkrycia

Premier brytyjski zapowiedział w Izbie Gmin natychmiastowe wysłanie ośmiu przedstawicieli parlamentu brytyjskiego do obozów śmierci i upodlenia w Rzeszy niemieckiej. Był to krok mądry i celowy. Przedstawiciele Izby Gmin i Izby Lordów mieli sposobność przekonania się na miejscu o metodach stosowanych przez hitlerowców, o straszliwych miejscach, gdzie torturami, głodem, stałym poniżaniem — niszczone ludzkie, zmieniano ich w żywe trupy. Pisma angielskie i amerykańskie ogłaszają codziennie długie artykuły opisujące te obozy. Nazwy takie jak Buchenwald, Oberhausen i inne wymieniane są w tych ponurych raportach. Zdjęcia ogłaszane w prasie brytyjskiej przedstawiają niektóre tylko sceny — albowiem łatwo sobie wyobrazić, że najgorszych rzeczy jeszcze nie pokazano. Najgorszych rzeczy jeszcze nie opowiedziano. Wyjdą te wszystkie sprawy na jaw dopiero wtedy, kiedy będzie można złożyć opowiadania więźniów w jedną całość, kiedy spisie się rejestry zbrodni popełnianych na tych bezbronnych. Relacje te wydane zostaną przez rząd brytyjski jako Biała Księga. Jest rzeczą pewną, że w Ameryce pojawią się podobne wydawnictwo. Pisma amerykańskie dają olbrzymi materiał w tym względzie, a magazyny ilustrowane przynoszą całe strony tych przynębiających zdjęć.

Odkrywanie Niemiec postępuje w szybkim tempie. Odkrywanie prawdy czym było nowoczesne państwo totalne, czym była Trzecia Rzesza, czym było to państwo policyjne, gdzie szczuto wszelką wolną myśl, gdzie tropiono wszelki odruch krytyki. Dzisiaj występuje na jaw to, o czym wiedzieliśmy, ale o czym — nie chciano myśleć za wiele.

Pamiętam jak na zachodzie Europy nie chciano wierzyć, gdy się przyjechało do Rzeszy — jak to się przydarzyło podpisanemu w r. 1937 kiedy przybył do Anglii po trzech prawie latach obserwowania Niemiec — i opowiadało się o obozach koncentracyjnych, o przygotowywaniu młodzieży do dzieła siepaczy i katów, o celowym i stałym znieważaniu młodzieży, o klasztorach partyjnych czyli t.zw. "Ordensburgach", gdzie

szkoliło się pokolenie przyszłych "fuehrerów" niemieckich. Nie chciano słuchać tych opowiadań i ostrzeżeń, nie chciano wierzyć, gdy się podkreślało, że Rzesza dokonuje niebawem próby zbarbaryzowania społeczeństwa, że zaprzęga się gromadnie do tej pracy młodzież, że mobilizuje się sadyści, że szkoli się janczarów gotowych do popełnienia każdej zbrodni w imię "czystości rasowej" czy mitu "wielkiej Rzeszy". Nie chciano w to wierzyć. Tłumaczono, że jest to wszystko "kontynentalna przesada".

Nie było sposobu zwalczania tej zapyry niechęci, niechęci przyjęcia faktów, rzeczywistości. Pamiętam, że nie można było w dobre przedwojennej zamieścić na łamach prasy brytyjskiej żadnego rzeczowego artykułu ostrzegającego przed tymi metodami, artykułu oświeclającego sens tego pogotowia sadyzmu, tych przygotowań do rzezi na wielką skalę. Miałem sposobność w czasie swojego pobytu w Rzeszy oglądać, jako jeden z nielicznych dziennikarzy zagranicznych, wspomniany już "Ordensburg". Opuściłem te przybytki w nastroju — nie wypieram się tego — alarmu i najgorszych przeczuć. Wyjeżdżałem z Rzeszy w przekonaniu, że straszliwa katastrofa grozi Europie, albowiem ośrodek niemiecki zamieniony został w obóz warowny fanatyków, szaleńców, sadystów, opętanych władzą, albowiem wszelkie podstawy cywilizacji ludzkiej i chrześcijańskiej zostały w Rzeszy zagrożone, albowiem Rzesza celowo poszła na powrót do pierwotności, do zasad niewolnictwa. Opuściła się Rzesze w przekonaniu, że cała nasza europejska kultura otrzyma niebawem cios tak straszny, iż nie podniesie się z niego przez lata. Ale o tych przeczeniach, o oglądanych rzeczach, o "klasztorach partyjnych", o praktykach obozów koncentracyjnych — nie można było pisać na Zachodzie.

I po wybuchu wojny było nie lepiej. Pamiętam w czasie dyskusji, po odczytach wygłaszanych w rozmaitych ośrodkach Anglii, gdy

wyrażano wątpliwości co do prawdziwości danych. Czy naprawdę to nie jest lekka przesada? Czy nie są to rzeczy zmyślane? Czy te wszystkie opowiadania o obozach śmierci, o truci gazami ofiar, o mordowaniu Żydów, o tropieniu ludzi — czy to nie jest "propaganda"? Na miejsce "kontynentalnej przesady" wstawiono teraz niebezpieczne słowo: "propaganda". I nie sposób było znowu wytłumaczyć, że jednak, niestety, to nie jest "propaganda".

Dzisiaj świat anglosaski, z natury rzeczy optymistyczny, albowiem brzydzący się okrucieństwem, albowiem wierzący w dobro życia i uczciwość ludzkiej natury — przekonuje się, że opowiadania tych co znali Rzeszę, nie były zmyślane. Dzisiaj szeroko pisze się o tych sprawach. Ale i dzisiaj ogół angielski, optymistyczny, jak się rzekło z natury, przeciera oczy i pyta: czy to możliwe? Anglik bowiem, człowiek o opanowanych uczuciach i popędach, człowiek o harmonii umysłu i uczucia /podczas gdy Niemiec jest człowiekiem o całkowicie zburzonej równowadze uczucia i umysłu/, nie może pojąć takiego bezmiaru zezwiercenia, takiej orgii sadyzmu, niszczenia, tępienia. Anglik jest człowiekiem typu męskiego, stanowczego, silnego: rozumie stanowczość, ale nie rozumie okrucieństwa. Sadyzm i okrucieństwo są dla niego objawem słabości, poczucia słabości, hysterii, szaleństwa. Są to dla niego przejawy tak obce, że aż odpychające. A ponieważ są odpychające, ponieważ psują mu jego pogodę życiową, wiarę w dobro życia — woli odsuwać takie obrazy na drugi czy trzeci plan.

Teraz jednak nie będzie tak łatwo odsuwać te groźne, potworne obrazy od siebie. Przedstawiciele prasy brytyjskiej i amerykańskiej, zahartowani w oglądaniu okrucieństw popełnianych w czasie wojen — szczególnie w dobie wojny domowej w Hiszpanii — są na miejscu i raportują, co widzieli. Przede wszystkim zaś przedstawiciele parlamentu, wyraziciele opinii publicznej, pojechali na miejsce

zbrodni, ażeby ujrzeć na własne oczy grozę. Im więcej osób odpowiedzialnych i wiarygodnych zobaczy te pomniki zbrodni — tym lepiej dla świata. Im więcej Niemców przepędzi się przez te obozy — jak to uczynili Amerykanie w Buchenwaldzie — tym lepiej. Niech ogół niemiecki przekonana się, czego to dokonywano przez lata — przez pełnych dzieci lat albo i więcej, albowiem terror hitlerowski rozpoczął się już "urzędowo" w roku 1933-im. Przede wszystkim nieurzędowo, wyżywał się w sądach kapturowych i ohydnych pokątnych porachunkach.

Amerykanie czynią mądrze i rozsądnie, że przymusem doprowadzają ludność miast do miejsc kaźni. Tysiące ludzi zginęły w tych obozach — a ogólna ilość sięgnie setek tysięcy. Jeżeli zliczy się obozy Majdanka, Oświęcim, Treblinka — to cyfra ta podskoczy jeszcze wyżej. Kto wie, czy ogółem w tych miejscach kaźni nie zginęło osiem czy dziewięć milionów ludzi z całej Europy i Rosji.

Taka masakra jest niespotykana w dziejach nowoczesnej ludzkości. Niespotykana jest jeszcze i inna rzecz: do tej inkwizycji politycznej zaprzęgnięto cały aparat władzy. Dokonywano zabiegów chirurgicznych polegających na amputacji nóg, ażeby "ciała się mieściły na ciężarówkach" i tego "wyrównywania" dokonywali chyba lekarze. Wytaczano krew z dzieci i małoletnich, dręczono przy pomocy świrów dentystycznych, przypalaniem, biciem — cały arsenał nieznanego ponuremu muzeum tortur w Norymberdze zastosoany został w "gabinecie dra Himmlera".

Jest n.p. faktem, że Hitler upodobał sobie wiele film zwany "The Bengal Lancer" /w Polsce wystawiany jako "Bengali"/, w którym pokazywano jak to torturowano oficerów brytyjskich na North-West Frontier w Indiach przy pomocy zapalonych szczepków drzewa, wbijanych za paznogi. Hitler opowiadał o tym z zapalem Himmlerowi /pokaz tego filmu od-

bywał się wielokrotnie w Berchtesgaden w prywatnym kinie Hitlera, który był maniakiem filmu/. Himmler niebawem wprowadził te sposoby do swojej kolekcji tortur.

Celem tych miejsc kaźni nie było zadanie śmierci — to było by zbyt proste. Przeciwnie: celem tych miejsc było stworzenie takiego nastroju w duszy, umyśle więźnia, ażeby śmierć wydawać mu się zaczęła wybawieniem, najwyższym szczęściem. Chodziło o całkowite złamanie fizyczne jednostki, o spodenie jej, o takie jej pohańbienie, ażeby nabrała do siebie wstrętu, ażeby sama przekonała się, że jest nędzna, że życie, jakie wiedzie jest podle. Dlatego to ludzie, którzy wydostali się z tego piekła — ludzie, których spotykało się niekiedy w Rzeszy — nie opowiadali o swoich przeżyciach. Nie tylko bali się odwetu na rodzinach, nie tylko wiedzieli, że każde niebawem słowo wprowadzi ich z powrotem do obozu, ale czuli, że obraz, jaki nakreślał będzie zbyt potworny dla ich własnego umysłu, oczu, że sami nie uwierzą słowom przez siebie wypowiedzianym, albowiem umysł ludzki nie może pojąć pewnych rzeczy ponad pewną normę i granicę.

Takich ludzi złamanych, zdeptanych oglądaliśmy w Rzeszy: Karl von Ossietzky, pacyfista, człowiek szlachetny, laureat nagrody pokojowej Nobla, którą to nagrodę hitlerowcy chcieli wyłudzić od komitetu Nobla — ten to von Ossietzky umierał w szpitalu berlińskim, dokąd go przeniesiono w ostatniej chwili /po przyznaniu mu nagrody Nobla/ z Dachau, umierał całkowicie zbity, złamany. Urzędnicy ministerstwa propagandy w Berlinie zapraszali nas, członków prasy zagranicznej, do odwiedzenia chorego, ażebyśmy przekonali się naocznie, że jest on "obecnie całkowicie Heil Hitler". Odrzucaliśmy go wstrętem te zaproszenia. Wiedzieliśmy, że von Ossietzky i tysiące innych to tylko wyprawka — albowiem po obywatelach Rzeszy przyjdzie kolej na całą Europę.

Kolej ta przyszła. Odkrywanie Rzeszy jest straszne. Ale obraz tego odkrycia pozostać musi na zawsze w oczach ludzi wolnych. Nie zapomnimy.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

W uwolnionym obozie

piątek 13 kwietnia 1945
Dopiero kilkanaście godzin temu żołnierze drugiego pułku pancernego uwolnili obóz Polek — jeńców wojennych z walk warszawskich. Kilkanaście godzin temu dowódca pułku odbierał pierwszy raport od Komendantki obozu. Wiadomość o uwolnieniu rozeszła się w mgnieniu oka po wszystkich oddziałach Dywizji. Poruszenie powszechne.

Wyjeżdżamy z holenderskiego miasteczka Ter Apel, zrazu drogą dobrą, potem polną, wreszcie na przełaj poprzez tor kolejowy, granicę niemiecką i mały las. Jesteśmy teraz na polnej drodze, rzuconej prosto wśród równin, dobrze uprawnych pól. Kilka kilometrów i po lewej stronie pokazuje się naprzód wysoka wieża strażnicza, potem baraki, a nad nimi — białoczerwona chorągiew. To obóz, nad którym wczoraj jeszcze o tej porze powiewał znak hitlerowski.

Ostatni skręt drogi i wreszcie zbliżamy się do bramy. Zasięki, jakiś wał ziemny, druga brama a przy niej wartownik z czerwono-białą opaską i karabinkiem maszynowym. Młoda dziewczyna, w amerykańskiej kurtce wojskowej, w furażerze ze lśniącem orzelkiem i proporczykami pancernymi na kombinezonie. Wypreżona, skupiona, salutuje po polsku, dwoma palcami — i przepuszcza nas. Jesteśmy w obozie!

Wrażenie jedyne: na obszernej placu obozowej długie szeregi dziewcząt i kobiet, ubranych w mundury i sukienki cywilne, w wysokich butach i sabotach drewnianych, w spódnicach i męskich ubraniach, w spodniach narciarskich i w amerykańskich mundurach. Przedziwna mieszanina stroju i wieku. Oznaki różnych broni i służb, opaski o barwach polskich, orzelki na czapkach i naszywki i gwiazdki różnych stopni. To kobiety-jeńcy wojenni, osadzeni przez Niemców w tym obozie, słuchają mszy polowej na placu obozowym. Nabożeństwo kończy się, oddziały rozchodzą się i teraz ku wewnętrznej bramie obozu, której jeszcze nie przekroczyliśmy — zbliża się ta masa kobiet i dziewcząt.

To pierwsze spotkanie z ludźmi z Kraju. Spotkanie w najbardziej chyba dramatycznych warunkach, kiedy Dywizja, wypierająca Niemców z Holandii zapisuje może ostatnią już kartę udziału polskiego w tej wojnie! Spotkanie z Polkami-żołnierzami, które przeszły najtragiczniejszą ze wszystkich bitew tej wojny, które opuszczając Warszawę patrzyły własnymi oczyma na pozostałe po niej ruiny i zgłiszczą.

Przyjmują nas serdecznie, chociaż wyczuć można wzajemne onieśmienie. Po naszej stronie jest obawa, tylokrotnie przecięta w długich rozmowach wyrażana — obawa, czy nam za złe nie biorą i tego długiego pobytu na obczyźnie i tego zaaklimatyzowania się w szerokie światło. Po tamtej stronie niepewność — jak wypadnie ta pierwsza rozmowa, jakie nowiny przyniosą ci Polacy, "swoi a przecież już inni" /jak to potem jedna z pań określiła/.

Ale to uczucie mija szybko. Rozmawiają teraz wszyscy, jak starzy znajomi. Okazuje się, że nie straciłszy łączności, że nadal rozumiemy się, że mamy te same troski, te same plany, które najkrócej ujmuje chyba pytanie: kiedy da się wrócić do Polski? To pytanie powraca stale, wszędzie. Ale nie brak innych: co o nas myśleliście tam na obczyźnie? co wiecie o Warszawie? czy zdajecie sobie sprawę z tego co to było? i jak to było? czy zagranica wie o tym dostatecznie? czy poinformowaliście naszych sojuszników o tym, jak tam naprawdę było?

Ale trzeba opanować /o ile to możliwe/ wzruszenie i zabrać się do zbierania informacji. Więć o-

bóz pomieszczony jest zdala od większych osiedli, w szeregach równin, w pobliżu gospodarstw niemieckich "Bauerów". Ma drewniane baraki, drewniane łóżka wielopiętrowe, śpi się na cieniotkanej warstwie słomy położonej w sienniku na kilku deskach. Wyżywienie jest fatalne, poniżej najskromniejszych wymagań.

Obóz istnieje od grudnia, wprowadzono do niego transporty z różnych innych obozów, które — na ogół biorąc — były lepsze pod względem wyżywienia i możliwości przeżycia. Przede wszystkim były to obozy mieszane i dawno istniejące. Nasze Polki miały w nich pomoc od uwieczonych kolegów z Armii Krajowej i od innych jeńców: Francuzów, Holendrów. Obóz w Hinterm Busch, reklamowany przez Niemców jako "wzorowy obóz kobiety" miał niemiecką straż — kilkudziesięciu ludzi — i Włochów, którzy wykonywali prace administracyjne i porządkowe.

W obozie przebywa 1728 kobiet, uczestniczek walk warszawskich. W ostatnim czasie Niemcy doliczyli jeszcze około 40 kobiet cywilnych, wywiezionych z Polski. Wiek: od 16 lat w górę ale jest także 3 chłopców i 5 dziewczynek w wieku od 8 — 12 lat. Było więcej dzieci, lecz w dniu 2 stycznia 1945 Niemcy wywieźli 35 małych chłopców na roboty! Wreszcie urodziło się w obozie dziewięć dzieci: 3 dziewczynki i 6 chłopców! Te niemowlęta, urodzone w szpitalu obozowym, chowają się doskonale.

Trudno po kilku godzinach w obozie wyrobić sobie sąd, wyobrazić sobie nawet — jak tam wyglądało

codzienne życie. Przede wszystkim uderza nas jedno: nie słychać żadnych skarg. Nikt się nie skarży. Słyszymy opowiadania o najgorszych chwilach walk warszawskich, kiedy nie można było próbować ratować najbliższych z gruzów domów, bo trzeba było wytrwać na wyznaczonym posterunku. Słyszymy o czterodniowym transporcie trzystu chorych i personelu szpitalnego w szczelnie zaplombowanych wagonach bez odrobiny pożywienia czy napoju. Słyszymy o szykanach wymyślanych przez Niemców, ale to wszystko wypowiedziane spokojnie, poważnie i bez akcentu skargi. Te kobiety, które opuściły ruiny i gruzы wszystkiego, co było im drogie, które od miesięcy a często od lat są bez wiadomości od najbliższych, które przetrwały długie lata niemieckiej okupacji, wzięły udział w potężnym zrywku walki o wolność stolicy — te kobiety nie skarżą się, nie żalą. Przeciwnie: wydaje się, że niczego nie potrzebują. Niczego oprócz odpowiedzi na pytanie: kiedy wrócimy?

Trzeba użyć trudu i namowy, aby nakłonić nasze Polki do przyjęcia papierosów czy czekolady. Wydawało by się, że im naprawdę niczego nie potrzeba.

Zwiedzamy teraz szpital obozowy. W jednym baraku mieści się sala "wewnętrzna" i trzy sale chirurgiczne, sala operacyjna i kancelaria. W innym oddział położniczy. Szpitalem kieruje dr Jadwiga Dobrowolska, lekarka ubezpieczalni społecznej w Warszawie, która podczas walk warszawskich prowadziła punkt opatrunkowy na Czerlniakowie. Wywieziona ze szpitala do Obozu Gross Libarz /pod

Magdeburgiem/ pracowała tam jako ordynator w szpitalu liczącym 748 rannych i personelu. Obecnie w stanie szpitala jest 152 chorych, 73 siostry, cztery lekarki i cztery dentystki. Administrację szpitala prowadzi "Siwa" /p. Bolesława Gudera/, która podczas obrony Warszawy prowadziła zorganizowany przez siebie szpital.

Przechodzimy przez sale szpitalne — oprócz chorych są jeszcze ciagle ranne z obrony Warszawy i inwalidki bez rąk, bez nóg. To chyba powinno pozostawić najbardziej przynębiające wrażenie. A tymczasem wszędzie ten sam nastrój, ten sam duch — wiara w przyszłość i głęboki, pozbawiony śladu patos patriotyzm.

* * *

Podsumowując wrażenia z pobytu w obozie trzeba by przede wszystkim próbować oddać panujący tam nastrój. To jest zadanie najtrudniejsze. Nastrój jest bardzo polski, żywy i zarazem głęboki. Brak patosu i wszelkiego cierpiętnictwa. To nie jest środowisko męczenniczek, które niczego od życia nie żądają. To zbiorowisko kobiet i dziewcząt, które przecierpiały wiele, zbyt wiele — ale nie straciły ani wiary w przyszłość, ani pogody ducha.

Pobyt przez kilka godzin w obozie był dla przeciętnego Polaka — najmocniejszym chyba przeżyciem od wielu lat. Był pierwszą próbą zetknięcia na szerszą skalę z ludźmi z Kraju, z ich własnym, innym od naszego, ale bardzo, może nawet bardziej polskim sposobem myślenia. Próba wypadła dobrze, żadna strona nie wyniosła z niej uczucia obcości, ale przeciwnie, wzmocniło się poczucie wspólności, jedności. O ile dla nas na obczyźnie upór i wytrwałość, z jakimi trzymamy się raz wytyczonej drogi w dążeniu do Polski — jest legitymacją do tego powrotu, to dla tamtych ta niezachwiana wiara, nawet w najczarniejszych chwilach, ten pełny udział w walce o Warszawę i długi okres okupacji czy niewoli — są gwarancją ogromnej, nieoczekiwanej wielkiej żywotności narodu polskiego i polskości.

STEFAN KOSSAK

List do Dowódcy Dywizji Pancernej

Londyn, dnia 18.IV.1945 r.

Generalu brygady Maczek, Dowódca 1 Dywizji Pancernej,
Pan Prezydent Rzeczypospolitej polecił mi, Generale, wyrazić Ci głębokie uczucie radości, z jakim dowiedział się o oswoobodzeniu przez Twoją dywizję obozu naszych kobiet-żołnierz Armii Krajowej. Pan Prezydent wie, że było to dla Was wszystkich nagrodą za poniesione trudy i ofiary. Wierzę również, z jakim sercem przysłuchiście im z pomocą. Prosi Cię o najgorętsze powitanie ich w Jego imieniu.
Do tych słów Pana Prezydenta przyłączam się w imieniu Rządu i własnym. Niczego nie zaniedbam, by sprawę ich i innych naszych towarzyszy broni wyzwolonych obecnie pomyślnie rozwiązać i zapewnić im maksimum opieki ze strony Sprzymierzonych.
Łączę żołnierski uścisk dloni.

/—/ KUKIEL, gen. dyw.
kierownik Ministerstwa Obrony Narod.

Nad rzeką białych min

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Włochy w lutym

Do chałupy doszliśmy wczoraj wieczorem, w bezkسیężycową noc. Nad głowami było bardzo gwiaździste. Na ostatnich setkach metrów przed chałupą, posypały się strzały z jakiegoś *Schmeissera*. Żołnierze idący gęśią pochylili głowy. Lolek, podporucznik i dowódca tego plutonu, natychmiast dodał ducha: "To nie w naszą stronę... Po Hindusach strzela... Z nami graniczą Hindusi". Żołnierze milczeli. Lolek szedł długimi krokami. Śnieg skrzypiał, a ja zastanawiałem się, jak wyglądał wybuch miny z pod śniegu. To musi być ciekawe.

Na tych ostatnich metrach przed chałupą, do której pluton szedł, aby złuzować kolegów i posiedzieć na ostatniej, przedniemieckiej placówce ze trzy tygodnie, poczułem się o wiele lepiej, niż w ciągu całego męczącego dnia. Wyjechaliśmy z miejsca postoju Dywizji wczesnym ranem po rozciapkanym błocie. Lolek załadował mnie na jakąś bardzo trzęsącą piętnastkę. Powiedział zdziwionym żołnierzom, że jestem ten i ten i że jadę z nimi, aby napisać... Wtedy dostrzegłem pierwsze ironiczne uśmiechy. Nikt wprawdzie nic nie mówił, ale czułem przez skórę, że wojsko krzywo patrzy na pana korespondenta, który napewno dojedzie do jakiegoś tam, dość jeszcze daleko od frontu położonego miasteczka, poczem, no cóż, ma prawo, rozchoruje się, albo znajdzie jakieś pilniejsze zajęcia, znajdzie jakieś sprawy, które bez jego obecności spowodują przegranie wojny.

Żołnierze w piętnastce rozmawiali półgłosem i sennie. Próbowaliśmy przełamać lody, częstując papierosami. Przyjęli, podziękowali, ale cisza ironiczna i nieprzyjazna trwała dalej, wiedziałem, że do zbliżenia na drodze nie dojdzie.

I oto przed chałupą, do której szliśmy, na prawdziwym froncie, w odległości siedmiuset, ośmiuset metrów od Niemców poczułem, że lody pękły. Żołnierze sami zaczęli mówić, bez papierosów i uprzejmych uśmiechów. Teraz wiedzieli, że przybędą już im nie uciekną, że przyszedł tutaj "bez lipy", że z nimi na nowym nieznany miejscu w groźnym życiu zostanie. Lolek poprosił, abym policzył szereg, czy ktoś na zakręcie nie został. A mógł zostać jakiś mikrus niosący z innym mikrusem ciężką skrzynkę z amunicją czy karabin maszynowy. Okazało się, że dwu ludzi brak. Zostałem więc, aby im pomóc, gdy nadejdą, poczem pójść razem do "naszej" chałupy.

Po kilku minutach byłem sam na białej drodze, pluton w perspektywie, zamienił się w czarny wężyk. Jakoż po dobrym kwadransie, osiągnęli mnie taskający amunicję. Już z daleka zawołali ścisłymi głosami: — "Panie poruczniku". Potem jednak wymiarkowali, że to nie jest dowódca. Ciekawie na mnie patrzyli. Natychmiast zapytali czy wiem dokąd mamy iść. Wiedziałem. Chłopcy stali się bardzo gadatliwi, widziałem, że z minuty na minutę przekonują się do mnie, przybędą z trzęsącej się piętnastki.

Doszliśmy do chałupy. Pluton był już wewnątrz. Przed domkiem stał tylko jeden człowiek z *Thomsonem* gotowym do strzału, w białym maskowniczym kitlu. Był dobrze zamaskowany swoim chałatem. Dostrzegliśmy go dosłownie w ostatniej chwili.

W dwu pokojach nie było czym oddychać. Poprzedni pluton w radnym pośpiechu pakował graty, nasi zajmowali miejsca. Tłok i dym z papierosów trochę mnie oszołomił. Nie mogłem w pierwszej chwili odnaleźć Lolka.

"Stary pluton" zabrał się do szybkiego ściskania rąk luzującym. Sypały się życzenia.

W pokoju piec wesoło buzował. Z niedomkniętych drzwiczek wystawała głównia. Jeszcze przed godziną głównia była smukłą nogą jakiegoś sekretarza. Pomyślałem, że na ładnym meblu, zapewne jeszcze do niedawna gospodyni tego domu grupowała wyszukane perfumy, wśród których zwyczajem młodej generacji mieszczanstwa włoskiego — leżały wiersze Leopardiego.



Pożegnanie przed wyruszeniem na placówkę

Pod przeciwległą ścianą stała czerwona kanapa. Leżał na niej porucznik artylerii. Domyśliłem się, że to jest obserwator. Gdzieś bardzo blisko odezwała się znowu broń maszynowa. Porucznik z kanapy podniósł, nie wstając z posłania, słuchawkę stojącego obok telefonu. Powiedział kilka talmudycznych dla mnie słów: — "Jeden stopień wyżej, poza tym wszystko jak przedtem, rabiniecie baterią...". Po upływie kilkudziesięciu sekund, nad dachem naszej chałupy przeszły z gwizdem pociski zaalarmowanej baterii. Niemcy natychmiast ucihli. — "Teraz będzie spokój" — powiedział artylerzysta odwracając się twarzą do ściany.

Pokój opróżnił się. Został w nim tylko Lolek, śpiący obserwator, dyżurny telefonista i ja. Wolni od posterunków żołnierze, przenieśli się do przeciwległego apartamentu.

Zanim się spostrzegłem, w rozgardiaszu pożegnania obchodzącego plutonu, czyjeś ręce niepostrzeżenie ustawiły mi łóżko. Ale spać się nie chciało. Zabrałem się do przerzucania książek na etażerze pod ścianą. Aha, więc mieszkanie to należało do jakiegoś lekarza chirurga. Właściciel czytał, nie licząc włoskiego, po angielsku i niemiecku. Prócz książek znalazłem wiele brulionów pełnych fachowych notatek, były również jakieś dzienniki z nazwiskami chorych.

W wielu wypadkach ludność jest ewakuowana z pierwszej linii frontu. Tak się jakoś na świecie zwykle składa, że wszelkie tego rodzaju ewakuacje obejmują w większości wypadków ludzi ubogich. Na froncie włoskim, widziałem kilka takich obrazów. Kobiety na rozkaz opuszczenia domostw, pochlipując owijały bambina w chusty, mężczyźni nieśli toboły. Ludzie szli do następnej wsi, której narazie wojna nie dosięgła.

Wies, którą objęliśmy w nocy, składała się z kilkunastu chałup, mocno już przeważnie porozbijanych. Ludności cywilnej w do-

mach nie było. Zostało jedynie kilku starców. Powiedzieli, że nigdzie nie pójda, że jeśli już mają zginąć, to tutaj, na swoich śmieciach. Zostali razem z wojskiem. Tak jak wojsko byli w dzień i w nocy narażeni na ogień nieprzyjaciela i działania jego lotnictwa i patroli.

Cokolwiek by się Włochom zarzucało we względzie braku odwagi, trzeba przyznać, że ludność cywilna, ta ludność, którą widziałem w strefach przyfrontowych, w różnych miejscach, zachowywała się zwykle bardzo odważnie. Najmocniej nerwowo trzymają się chłopcy. Kilku z nich przed paru dniami widziałem koło Castel Bollonese. Uprawiali ziemię... którą z dosyć dużą regularnością dwa razy dziennie ryły pociski artyleryjskie i moździerzowe.

Dzień zaczynał się wietrznie i ciemnowo. Obudziłem się ze zmęczonymi spaniem w butach nogami. Zamiast herbaty było wino i koniak — do wyboru. Stwierdziłem że zdumieniem, że żołnierze na najpierwszej linii frontu, zupełnie nie jedzą wiktuałów fasonowanych. Na stole naszym, znalazło się prosię i rumiane kury.

Lolek był wesoły, chociaż wiedziałem, że z nerwami nie jest i u niego najlepiej. Ten młody podporucznik ze "starej" Karpackiej Brygady, jeszcze nie tak dawno, w Palestynie, był ułanem. Z podchorążówki wyszedł jako starszy ułan, we Włoszech po pierwszej akcji nad Sangro dostał gwiazdkę. Po Ankonie miał już dwie gwiazdki za rany. Teraz, dziś, wysyłając tę historię do Londynu, wiedziałem się, że niedawno dostał trzecią gwiazdkę. Po moim wyjeździe z frontowych chałup, Lolek dostał z jakiejś maszynówki w twarz. Szczęśliwie, pocisk wyszedł koło skroni. Została mała blizna. Powstała trzecia gwiazdka.

Zaczęliśmy pierwszy dzień. Przed południem obserwator pokazał nam przez dziurę w strychu rozkład niemieckich chałup. Stały

o kilkaset metrów. Pokazał również jakieś skutki jego rozmów telefonicznych. Po krótkiej dyspozycji, zobaczyliśmy, jak na chałupę posypała się nasza artyleria. Okazało się, że taką zabawę obserwator urządził kilka razy dziennie. Po naszym ogniu zagrali Niemcy. Zaczęli artylerią, poczem przeszli na moździerz. Odłamki raz po raz godziły w naszą fortecę.

W południe posterunek nasz dostrzegł gołym okiem jakąś grupkę ludzi, idących w naszą stronę. Byliśmy od Niemców odgradzeni zamrażającą rzeczką. Ludzie uszedszy trochę — urosli i poprzybierali konkretne postacie kobiet i mężczyzn w cywilnych ubraniach. Szli wprost na nas. Niemcy nie strzelali. Cywile przyszedli z kwilącymi dziećmi. Poprosili o wóz do najbliższego miasteczka. Lolek dał wóz natychmiast. Potem przyszedł jakiś starzec z prośbą o pomoc w pochowaniu zmarłej żony. Żołnierze wykopali dół i zbili z drzwi od szafy trumnę. Wiele przewinięło się przez ten pierwszy dzień bolesnej troski i ludzkiego nieszczęścia.

Po dwóch dniach, byłem w wojennej chałupie bardzo zadomowiony. Znałem niemal wszystkie imiona żołnierzy. Stanowiliśmy na placówce grupkę dwudziestu pięciu ludzi. Był to pluton niepełny. Tak się złożyło. Żołnierze nie byli zachwyceni swoją służbą. Dziwiłem się temu tak długo, zanim się nie dowiedziałem, że pluton Lolka jest plutonem *carrierów*. Przykusztykali pieszo pierwszy raz od niepamiętnych czasów Środkowego Wschodu. Dzielił się na niedawno przybyłych z armii niemieckiej i raczej już dawno przywiezionych z Rosji. Pierwsi, młodziutki, przeważnie niebieskoocy i jasnowłosi; drudzy o twarzach poritych bruzdami, o mocnych i podejrzliwych spojrzeńiach, o rękach do dziś pamiętających uralskie i syberyjskie "lesopowały" i kopalnie. Chłopcy z niemieckiej armii, doskonale wyszkoleni i pełni spokojnej zawziętości, stanowili

w chałupie element rozświergotany i wszystko znoszący z uśmiechem i pogodą. Ludzie z Rosji, byli raczej mruklawi. Rozchmurzyli się dopiero, dowiedziawszy się, że jestem z Wilna. Oni też byli stamtąd. Ze Święcian, Smorgoni, Lidy, Ejszyszek, Puszczy Rudnickiej, Jaszun. Większość mówiła śpiewnym, jakże bliskim sercu językiem. Zdawało by się, że między byłymi katorżnikami sowieckimi i podobnymi katorżnikami Hitlera, nie będzie harmonii i przyjaznego współżycia. Przekonałem się, że stosunki między chłopcami były jak najlepsze.

Dom, w którym mieszcila się nasza placówka stanowił, jak wspominałem już, własność jakiegoś lekarza. W drugim dniu pobytu na wojnie, znalazłem jego fotografie. Był to młody człowiek o typowej włoskiej twarzy. Wśród pozadepytanych na posadze listów znalazłem kilka z Rzymu od jakiegoś przyjaciela, który uparczywie prosił, aby młodzian porzucił wieś i przeniósł się do stolicy. Ale chirurg nie chciał, pisał, że tutaj jest tak wiele do zrobienia. Wygnała go dopiero wojenna ewakuacja. Do jego domu przyszli Polacy.

Wojna, która zegnała nas z całej Polski do domu włoskiego ideowego lekarza, leżała już od kilku dni cicha, zamaria. Tuż za chałupą wila się zamrażająca rzeczka. Saperzy nasi stwierdzili, że rzeczka jest wspaniale zaminiowana. Nasi dołożyli min po naszej stronie. Teraz, obie strony czekały na jakiś szaleńczy patrol. A nuż ktoś odważy się wleźć między poobsypanych śniegiem min. To dopiero będzie zabawa. Na śniegu patrolowcy zaczerwienią wielkimi plamami krwi. A na uciekających żywych, pójdzie ogień: jeśli to będą Niemcy — z *Thomsonów*, jeśli Polacy — z *Schmeisserów* i *Spandauów*.

Ale patrole chodziły innymi drogami. W trzecią noc mojego pobytu na odcinku, około północy zjawił się w chałupie młody podchorąży i powiedział Lolkowi, że na szerokości iluś tam metrów... rzeczka jest rozminowana i nasi mogą iść. Swoje miny zostały dokładnie poznaczone.

Natychmiast poszło kilku blondynków. Poszli i nad ranem wrócili. Ustalili gdzie się mieści dowództwo niemieckiego batalionu. Byli bardzo zmęczeni, ale przekrwione oczy patrzyły radośnie. Była to radość ludzi, którym udało się zostać przy życiu, wrócić do swoich.

Dni na odcinku biegły monotonię. Obie strony strzelały wprawdzie z pewną regularnością, ale nawet potężny ogień nikomu niczego złego zdaje się nie robił.

Na kilka dni przed złuzowaniem poprzedniego plutonu, była silna niemiecka nawała. Wtedy artyleria posiekała całą wieś, padło około tysiąca pocisków. Ale wszyscy zostali przy życiu. Tak się niekiedy zdarza.

Codziennie wieczorem, mul przynosił prowiant i "Dziennik Żołnierza APW". W komunikacie Korpusu stało niezmiennie: "Na odcinku polskiego Korpusu działalność patroli i wymiana ognia artyleryjskiego". Tak było naprawdę. Ale naprawdę również było, że w tej cichej wojnie, obaj przeciwnicy czaili się ze wstrzymanym oddechem, aby w pewnej chwili porządnie rąbnąć. Wojna nerwów nad rzeką białych min trwała.

W noc mojego wyjazdu, nasze czujki otworzyły ogień maszynowy do saperów niemieckich, którzy dowiedzieli się, że młody podchorąży rozminował po ich stronie rzekę i postanowili nataskać nowych min. Ale *Thomsony* przeszkodziły.

Tej nocy, pożegnałem się z Lolkiem i poszedłem z mulem, który przynosił gazety i *corned beef'y*. Pluton został, aby doczekać sposobnego momentu na tłusty patrol, na wojnę głośniejszą niż dotychczas. Przed odejściem prosiłem Lolka, aby nie pozwał palić w piecu meblami. Nie wiem jednak, czy żołnierze dali spokój polituowanemu drzewu. Wiem, że Niemcom spokoju nie dali.

JERZY BAZAREWSKI

Żołnierze w białych płaszczach maskowniczych na stanowisku



Z nieba na niebo

(Korespondencja własna "Polski Walczący")

Z lotnikami polskimi, w marcu

MIASTO NIEMIECKIE PO "CHRCIE OGNIĄ"

Kościół pozostał bez frontowej i tylnej ściany, wygląda więc jak domek z kart i chociaż te karty są wielkie jak ściany kościoła, wydaje się, że runą za lada podmuchem wiatru. Zaczynam domyślać się, dlaczego jeszcze z takim uporem wznoszą się nad strasznymi ruinami niemieckiego miasta. Oto u szczytu tej nawy kościelnej w poprzecznym przekroju, na tle pochmurnego nieba, wisi wielki żelazny krzyżyk i skrzypi na wielkim przeciągu. Wojna otworzyła ściany kościoła, aby pokazać oszłomionym mieszkańcom miasta, które przestało istnieć, ukrzyżowaną postać Króla Miłosierdzia. Zapomniano o Nim, kiedy przesłaniały Go mury z wielkimi napisami na cześć Hitlera.

Miasta nie ma. Są zakurzone drogi, po których suną nieprzerwane kolumny samochodów i czołgów. Ale po obu stronach wznoszą się jakieś fantastyczne zwaliska murów, cegieł, gruzu, ziemi, drzew, sprzętów domowych — przemieszanych dokładnie i odgarniętych na boki potężnym pługiem gąsienicowym. Tyle pozostało z domostw, w których spokojnie żyły całe pokolenia, ciesząc się wygodą swego bytowania i wiadomościami z frontów, donoszącymi o zgłoszczonych i cierpieniach innych krajów nawiedzonych przez oręż niemiecki. Pięć lat temu zachwycono się tutaj filmem "Chrzest ognia" i żadnemu z mieszkańców tego miejsca nie przyszło się nawet w najstraszniejszym koszmarze, że jego dom, jego ogródek, ulica, miasto, jego rodzina, że on sam stanie się tem do jeszcze bardziej ponurego, beznadziejnego obrazu zagłady.

Taka jest kara nieba. Ziemia nie potrafi tak karać, choćby zespoliła całą moc swego gniewu. Gdy patrzę w ten odmet dawnego miasta, czytam w nim dzieje tego pogromu. Tu nie było systematycznej młócki artylerii; jej pociski rozrywają mury, kładąc domy, wypalają wnętrza, ale pozostawiają coś, pozostaje podziurawiony dom, ulice opustoszałych, na pół rozwalonych murów. Ale na to miasto i na sąsiednie, i na dalsze, na wszystkie, na cały ten kraj runął kataklizm, który można przyrównać jedynie do potwornego trzęsienia ziemi. Oto w tym miejscu zdaje się stała wielka nowoczesna kamienica, a teraz z kupy gruzów sterczy tylko niskie, osmolone i poszarpane obmurowanie. Jest tego tak mało, jakby ktoś już zdążył uprzętnąć. Reszta została zmieciona z powierzchni ziemi. Jakaś nadludzka siła przerąbała kamienicę od dachu po najgłębsze piwnice i rozpyliła wszystko. Może w to nieszczęsne miasto uderzył meteor — potężna część planety i eksplodował z rozmachem na skalę katastrofy we wszechświecie.

POLACY MAJĄ SWÓJ UDZIAŁ W KARZE SPADAJĄCEJ NA NIEMCY

Stoję w "briefing room'ie" na lotnisku polskiego skrzydła "Spitfire'ów" w Holandii przed wielką mapą, nakrytą celofanem, na której wesoły kapitan Jimmy nanosi różnokolorowymi ołówkami nową sytuację.

—*Fantastic push!* — wykrzykuje co chwila, w miarę jak wyczytuje z kablogramu współrzędne, które prowadzą jego czerwony dermatograf śladami wojsk sprzymierzonych coraz to dalej na wschód, w głąb Niemiec.

Przed czerwonymi liniami pochodu wojsk, przed chorągiewkami i różnymi znaczkami, które oznaczają na mapie zwycięskie armie, korpusy, dywizje i brygady, wygina się coraz bardziej na wschód węzowa, ciągła linia — "bomb-line". Za nią właśnie zaczyna się lotnicze piekło, którego skutki oglądałem na ziemi niemieckiej, za tą linią wyładowuje się straszny gniew nieba obrażonego chwilową uległością wobec przemocy "Luftwaffe" na początku tej wojny. Za tą linią, która spływa zygzakami od wysp holenderskich po góry Szwajcarii, wali się z nie-

ba lawina żelaza i ognia, miazdzy wszystko, co jest niemieckie, miasta i wsie, fabryki i domy, lotniska i farmy, kolumny wojsk i stanowiska dział, kościoły i czołgi, pociągi i zabawki dziecięce.

Polscy lotnicy biorą pełny udział w tym historycznym szturmie z nieba na Rzeszę Niemiecką, a dywizyjny myśliwski odgrywa w nim swoją charakterystyczną rolę nieustannego rozpinania nad nieprzyjacielem misternej sieci nagłych ataków i ciosów, przed którymi nie może się ukryć. Lotnictwo bombowe miazdzy jak młot parowy, a myśliwskie razi jak prąd wysokiego napięcia.

POLOWANIE NA POCIĄG

Nagle drzwi otwierają się z hałasem i do wnętrza tego baraku wytapetowanego mapami wchodzi grupa pilotów, którzy tylko co powrócili z lotu operacyjnego. Wszyscy są radośnie podnieceni, jeszcze nieostygli po walce. Oficer z "Intelligence" podbiega z notatnikiem w rękę, wszyscy skupiają się przed mapą i już z krótkich pytań i odpowiedzi wyrasta opowiadanie o jednej z chwil terroru i zgrozy, jakimi jest wypełnione życie i beznadziejna walka Niemców.

Tym razem był pociąg — jedno z najbardziej prześladowanych zwierząt na łowieckich terenach myśliwców polskiego skrzydła. Piloti pokazują na mapie miejsce na czarnej linii toru kolejowego, gdzie napotkano zwierzyne. Pierwsze samoloty uszkodziły tory i pociąg został osaczony w pułapce, z której nie było wyjścia ani w przód, ani do tyłu. Wtenczas rozpoczęła się rzeź. "Spitfire'y" jeden za drugim atakowały unieruchomione wagony z jakimś cennym ładunkiem. Eksplozje, kłęby dymu i płomień zasłoniły widok. Po zrzuceniu bomb poszły w ruch działka, które seriami pocisków siekły wszystko, co zostało z pociągu.

—Ile zniszczonych wagonów? — zastanawia się jeden z pilotów. — Kiedy na zakończenie przejechałem się ponad pociągiem widziałem co najmniej 30 wagonów kompletnie zniszczonych. Ale dym zasłaniał widok, więc z pewnością było więcej.

Ale nie wszyscy piloci mieli dobrego dnia. Oto jeden z następnej grupy spowiada się zdeglustowanym głosem z jakiegoś samochodu pancernego, jedynej rzeczy wartej strzału w ciągu całego patrolu nad nieprzyjacielskim terenem. I ten drobniak na ziemi usiłował nawet strzelać do niego.

—No, i co? — zapytuje indagujący oficer.

—Kiedy odlatywałem, samochód palił się wielkim płomieniem — pilot skrócił swoje sprawozdanie.

ZIEMIA, KTÓREJ ODEBRANO NIEBO

Więcej nic nie mógł zauważyć, bo na kolejach, drogach i polach jak wymario. Tam nikt nie ma prawa się pokazać. Bomby i pociski sypią się na głowy, drogi pokrywają się lejami, szyny kolejowe skracają się w podmuchach eksplozji. Jednym z zadań polskiego skrzydła jest niszczenie linii komunikacyjnych w okupowanej Holandii i dzięki lotnictwu ta część Holandii została odcięta od Rzeszy.

Z tych rozmów przy mapie, z tych krótkich sprawozdań, uwag i pojedynczych słów pilotów ujawnia się w całej pełni prawda, że chociaż tamte ziemie są jeszcze w rękach wojsk niemieckich, niebo nad nimi należy do nas i że nie ma zakątków, w którym Niemcy nie drżą w obawie przed atakiem z powietrza, jaki w każdym momencie może nastąpić. Piloti znają teren niemal na pamięć. Oblatali go wzdłuż i wszerz, żaden szczegół nie uszedł ich uwadze, każda drobna zmiana wzbudza ich zainteresowanie, a to pociąga za sobą nowy atak i znów bomby, i znów zajadłe "strafowanie" ogniem działek. Kiedy bomba spadnie na tor kolejowy i przerwie tory, samoloty jak złe duchy wciąż wracają do tego miejsca i paraliżują rozpaczliwe wysiłki Niemców, aby doprowadzić tor do stanu używalności. Można sobie łatwo wyobrazić prze-

klenstwo pobytu na takiej ziemi, której odebrano niebo.

LUDZIE, KTÓRZY ZSYLAJĄ PIEKŁO Z NIEBA

Kiedy przyglądam się pilotom, tym wesołym młodym ludziom, i kiedy myślę o zgrozie, która spływa ze skrzydeł ich samolotów na ziemię wroga, czasem aż nie chce się wierzyć, że to są właśnie ci, którzy to robią. Zdawało by się, że sprawcami takiego strasznego kataklizmu mogą być jedynie jacyś wybrani — najokrutniejsi z najokrutniejszych, jakieś typy na pograniczu najeźdźców z Marsa, a co najmniej ludzie noszący w oczach jakiś niebezpieczny błysk i mający skłonność do wykrzywiania ust w wyraz pychy i pogardy. A tymczasem są to najmiłsi z chłopców, a atmosfera życia na lotnisku skrzydła przypomina mi akademickie czasy, kiedy to człowiek tak dobrze umiał łączyć poważną pracę z zabawą i pustą swawolą.

Co w tych ludziach najbardziej jest ujmującego, to bezpośredniość i prostota, brak pozy i komediantwa. Chodząc po ziemi, zupełnie nie usiłują podkreślać, że należą do nieba, że dziś z niego wrócili, a jutro znów tam pójdą. I że niewiele potrzeba, aby to nigdy nie mogło się powtórzyć. Dlatego trudno się u nich doszukać jakichś specjalnych gestów, symbolów, przesądów, osobliwych zwyczajów — tych wszystkich akcesoriów, jakimi niektóre zwarte grupy ludzi pragną odgrodzić się od człowieka nienależącego do ich grona i za imponować swoją oryginalnością.

Wśród tych walczących lotników nie ma ani krztu zakłamania. Kiedy mgła zasnuwa lotnisko i loty są skasowane, nikt nie leje z tego powodu krokodylowych łez, przeciwnie wszyscy się cieszą, że można będzie się wyspać. Kiedy lotnik jest zmęczony i zły, nie ukrywa tego i powie każdemu, że krew by zalała takie życie i że wszystko ma gdzieś. Kiedy ma nadejść lista odznaczeń, nie wprawia w otoczenie, że lekceważy te wszystkie beretki i blaszki, ale powie wprost, że bardzo by chciał, aby o nim nie zapomniano. Lotnik przyznaje się do wszystkich swoich normalno-ludzkich myśli i uczuć, do swojej złości i zadowolenia, do swojej odwagi i strachu, bo życie, które musi pędzić, stawia go tak wysoko, że już nie potrzebuje żadnego sztucznego chwytu, zakłamania lub hochsztaplerstwa.

MYŚLIWIEC I ZIEMIA

Właśnie ci sympatyczni ludzie zsyłają z nieba to straszne piekło, którego skutki oglądane na ziemi, chociaż należącej do wroga, nie pozwalają zdobyć się na śmiech i pogodną rozmowę. Ale lotnik nie styka się z tym, nie widzi krwi, nie słyszy strasznego ryku ginących ludzi. Dla niego ziemia jest jakby olbrzymią fotografią, plastycznym stołem. Dla niego wybuch bomby jest grzybkami dymu, który nagle wyrasta wśród domów, a rzeź nieprzyjacielskiego oddziału jest czymś, co przypomina poszczenie owadów. Atakujący żołnierz-lotnik nie nurza się w błocie, nie maże się krwią przeciwnika. Jego walka jest czysta, jak zabieg chirurgiczny, daleka od spraw ziemi i jej wrzaskliwej agonii.

Ziemia jest dostatecznie odległa od myśliwca, aby odsunąć od niego widok okropności, które on na nią zsyła, dlatego nie ma ci pogodnego spojrzenia pilota; ale jest dostatecznie bliska, aby zagrozić mu zjadłym ogniem — rozpaczliwą obroną zranionego zwierzęcia i dlatego piloci wystawieni codziennie na żar bojowych lotów zachowują w sobie tę ujmującą prostotę i radość życia, do którego powracają z nieba. Atmosfera *messy*, świetlicy i kwater lotników ma w sobie coś ze schroniska wysokogórskiego, do którego po niebezpiecznych wyprawach ściągają partie taterników czy alpinistów. Jakże wtenczas smakuje szklanka herbaty, jak jasno świeci słońce poprzez szyby werandy, jak pięknie gra radio, chociaż nie chce się słuchać, jakże przyciągają gazety, chociaż nie chce się czytać, jak pachnie las i jak przyjemnie skupić się przy dzwiczącym szkle baru.

ROZMÓWKI W BARZE I MAGICZNE NAZWISKO

W barze można podchwycić nie jedną tajemnicę atmosfery życia na lotnisku polskiego skrzydła "Spitfire'ów", z którym zetknąłem się tak "*somewhere in Belgium*" jak i "*somewhere in Holland*". Zazwyczaj tematy rozmów podgrzewanych w uświęcony sposób, w tym wypadku koniakiem i winem, startują z płaszczyzny obywatelskich spraw i wznoszą się na wyżyny coraz to większej poufności.

Po przekroczeniu punktu, po którym zaczyna się serdeczność, kiedy nieznajomi poczynają mówić do siebie po imieniu, w innych środowiskach zawsze można posłyszeć jakąś rzewną miłosną spowiedź, zwierzenia odnoszące się do planów na przyszłość, westchnienia na temat przeszłości przedwrześniowej lub nieco nowych epitetów pod adresem naszych nadzwyczajnych Sprzymierzeńców. A tu w podobnych okolicznościach kochany rozmówca znów napelnia mi szklankę, przypiera do ściany i zamiast mówić o rąbaniu drzewa w Kanadzie, o nowym trzęsieniu ziemi w San Francisco lub o słodkiej Lisette z Brukseli, oświadcza stanowczo:

—G... cz!...

Ze tylko on, że chciałby tylko z nim, że drugiego takiego nie ma i że niech bym tylko śmiać mieć inne zdanie!

Potem dowiaduję się, że kiedyś w Brukseli Władek był zalany na 70%, Bronkowi na 85%, a Staszek chyba na 100%. Ale ledwo do restauracji wszedł G... cz momentalnie Staszekowi spadło na 50%, Bronkowi na 35%, a Władek nabrał przekonania, że trzyma w rękę szklankę z mlekiem. Taki autorytet!

Kiedyś wynikła awantura — opowiedziano mi o niej z zastrzeżeniem, że broń Boże nie do druku — i sprawa ledwo nie oparła się... myślałem, że o jakiegoś marszałka powietrza, o Parlament W. Brytanii lub może nawet o wielką trójkę, która zgodnie z dogmatyką katolicką jest w jednej osobie. Ale nie! Mogło się stać coś strasznego, bo sprawa ledwo nie oparła się o G... cz.

A kiedy przeglądałem narastającą codziennie kronikę Skrzydła, wciąż napotykałem słowa: "plk. G... cz zaatakował pierwszy..." albo "dowódca Skrzydła poprowadził na cel..."

—No, co? Masz inne zdanie? — mój rozmówca z gapą lotniczą przycisną mnie coraz groźniej do barowej lady.

Ja też mam już w czubie, więc niczego się nie boję i patrząc wprost mu w oczy i innym — powiadam:

—A ja nie lubię G... cz! A wiecie dlaczego? Nie lubię go za to, że ma trzydzieści parę lat i jest już polskim podpułkownikiem, a brytyjskim *Group Captain'em*; za to, że posiada dwa "Virtuti Militari", cztery "Krzyże Walecznych", D.S.O. i D.F.C. oraz "Croix de Guerre"; za to, że jest wysokiego wzrostu i ma jasną, pogodną twarz; za to, że jest miły i ujmujący, a w służbie twardy i stanowczy; za to, że nieustannie lata i walczy, że ma już tyle straconych samolotów i jeszcze mu mało; za to, że lubicie go i szanujecie; za to, że nie stać mnie na to, aby mu dorównać choćby w setnej części; za to wreszcie, że kiedy następny raz znaję się na lotnisku, przepędzi mną na zbitą twarz; za to, co o nim napiszę w "Polsce Walczącej"...

Groźne twarze słuchaczy rozjaśniały się w miarę, jak mówiłem. Wreszcie ktoś przerwał wesoło:

—Ależ puść wazelinę!...

I wypiliśmy za zdrowie dowódcy Skrzydła.

DOBRANE BRACtwo

Z tego, co napisałem, mogło by się wydawać, że najpierw jest wódz, potem długo, długo nie, a wreszcie rycerskie współstwo. A tymczasem nie podobnego. Wódz jest najlepszy, bo inaczej nie mógłby być wodzem w tym dobrym gronie, a tuż za nim stoi zespół wicewódców, za których zdrowie również szczerze wznosimy

toast. A tuż za nimi idzie ogół rycerstwa. Hierarchia jest naturalna i harmonijna i gdyby tych ludzi ustawić w szeregu według nabytych w ciągu walk doświadczeń i wartości bojowych, a następnie u ich "topu" wykreślić linię, to okazało by się, że jest to lekko pochyla prosta oparta nie o fizyczne, ale moralne czubki głów poczynając od wyżej wychwalonego *Group Captain'a*, poprzez *Wing Commander'a*, *Squadron Leader'ów*, poprzez wszystkie stopniowo niższe szczeble, aż po sierżantów, bo niebo myśliwców jest zbyt dostojne, aby można było do niego się dostać w niższym stopniu.

Ostrzegano mnie, kiedy pierwszy raz wybierałem się do Skrzydła, abym pisał o nim z wielkim zastanowieniem, bo popełniwszy jakąś gaffę, zbyt jaskrawe lgarstwo, zdradziwszy się ze swoją naiwnością i ignorancją w sprawach lotniczych, lub puściwszy się na wody bohatersko-bogoojęzyczniane — łatwo mogę "podpaść" i wtenczas nie mam już co robić w Skrzydle, bo nie tylko "story", ale nawet kieliszka koniakowi najgorszego, na eterze, nie dostanę, choćbym sam stawał i prosił, aby gospodarze zechcieli ze mną wypić. Dlatego popełniwszy jedną niedyskrekcję co do osoby dowódcy-przyjaciela, jakim jest dla Skrzydła *Gr/Cpt G... cz*, z drżeniem maszyny do pisania podchodzę do obróbki dalszych wódzów w Skrzydle. Nie będę wymieniał nazwisk, bo cenzura zawsze je skreśla, ale przynajmniej zdekonspiruję ich przezwiska, chociaż nie były z pewnością przeznaczone dla prasy.

KILKA OSOBLIWOŚCI "CYRKU G... CZA"

Nie wiemy, w jaki sposób te przezwiska powstały, bo niektóre z nich nie mają wspólnego z osobą posiadającego. Dlaczego zastępca bojowy dowódcy skrzydła, ten uprzejmy i dyskretnie dystygowany oficer jest przezwany "Szczurem"? Tak jakby było w tym coś miłego, bo przecież wszyscy go lubią.

Inna sprawa, że po kilku dniach pobytu w Skrzydle przekonałem się, jak wszystko na świecie jest względne i teraz dla mnie słowo "szczur" brzmi zupełnie inaczej, kojarzy się z czymś bardzo sympatycznym. Podobnie jest z dowódcą Dywizjonu Poznańskiego, którym jest raportem... "Grzyb". Szczur ma przynajmniej w sobie coś drapieżnego, a więc bliskiego pilotowi myśliwskiemu, ale grzyb? Może zawił w tym kształt spadochronu, ale to już moja własna spadochroniarska sugestia.

Dywizjon Krakowski walczy pod dowództwem swego "Karola". Pod tym skromnym imieniem kryje się postać, na którą wystarczy spojrzeć, aby zechciało się człowiekowi wybrać się na podbój świata. W tym prawdziwym zagończyku powietrza jest tyle rozmachu, że na jego skinienie dawno pomarli wyskoczyliby z trumien wznosząc wrzask, że chcą żyć i bić.

Jedynie Dywizjon Wileński wykazał wyczucie językowe, bo swego wodza przezwali pieszczotliwie — "Synek". "Synek" odznacza się podwójną osobowością: w powietrzu jest szatanem, G... em, Szczurem, Grzybem i Karolem, a ledwo wypuści podwozie i podejdzie do lądowania, od razu przedstawia się właśnie w synka, w łagodnego, pogodnego młodzieńca o niewinnym uśmiechu.

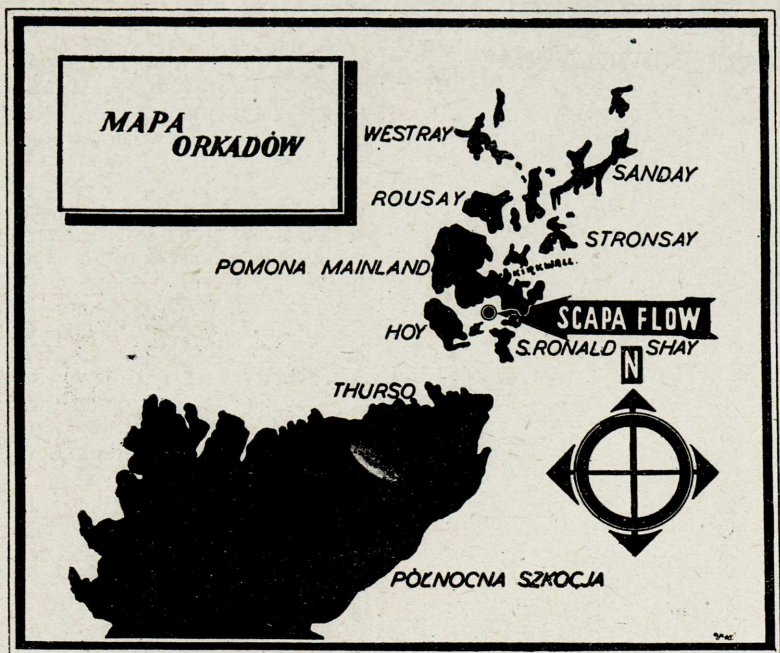
Tacy dowodzą w Skrzydle. A reszta? Reszta jest taka sama.

Brytyjczycy wynaleźli dla najlepszych dywizjonów myśliwskich trafną nazwę "cyrk". Jest to zaszczytna nazwa, zdobywana przez akrobatyczną karkołomność w walce. Trafność tego określenia występuje jeszcze wyraźniej, kiedy ma się możność obejrzenia wędrującego lotniska operacyjnego.

"Cyrk G... cz" również jest taką instytucją i chyba cieszy się nieomalą popularnością międzynarodową, jeżeli już w czwartym z kolei kraju stanął taborem i rozwinął swoje namioty. Jego wędrowne wozy przemierzają już Wielką Brytanię, Francję, Belgię, i zawitały — do Niemiec.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Scapa—te szkockie Hawaje



Grupa wysepek Orkadów jest miejscem, które można by nazwać siedliskiem brytyjskiej potęgi — nawet bez pomocy *Lease and Lend*. Wysunięta pozycja, dająca wgląd w Atlantyk Północny, Ocean Lodowaty Północny i Morze Północne, jest jakby punktem obserwacyjnym, z którego widać co dzieje się w Norwegii i w Skagerraku w prawo, w rejonie Islandii i Grenlandii — w lewo. Idealne miejsce dla ćwiczeń indywidualnych i zespołowych marynarki brytyjskiej i alianckiej. Anglicy nazywają to miejsce Scapa Flow, my — Szkockie Hawaje.

Wygwizdowo, dziura, pustynia i nuda — oto nazwy jakimi nasi marynarze określają Scapa. I rzeczywiście. Ktokolwiek choć raz był w Scapa, potwierdzi to. Wyjście na ląd chyba za karę, lub na specjalny rozkaz celem rozprostowania nóg. Pogoda szkaradna, dżdżysta i bezustanne wiatry wiejące z Oceanu Lodowatego. Dzikie, nieporosłe niczym wzgórza bezładnie rozrzuconych wysepek z przylepionymi do nich gdzieniegdzie „beczkami śmiechu”, w których mieszka stała obsługa dział nadbrzeżnych i przeciwlotniczych. Jedna kantyna z napój skwaśniałym czymś, co w języku angielskim nazywa się „beer”, a w polskim? ... Nie ... nie mogę tego powiedzieć.

Życie towarzyskie? ... Wszystko to, co chodzi tu na dwóch nogach i ma prawo ubierania się w sukienkę, pozuje na doskonałą piękność, przy której Deanna Durbin, Betty Grable, czy Dorothy Lamour, stają się zwykłymi kopcuszkami. Z drugiej zaś strony, Wrenki, Ateeski i NAAFI-girls ze stałe obsady są tak dobrane, że gdy człowiek popatrzy na nie — i bez biczowania pokusa odlatuje. Bodaj to na „Dragonie” w mesie oficerskiej zrodziła się nowa piosenka na starą nutę, której refren brzmi:

„Nie będziesz, nie będziesz, nie będziesz „kissal”,
Nie będziesz „kissal” w Scapa Flow”.

To słowo: „kissal” można zamieniać dowolnie, jak tylko fantazja na to pozwala, lecz główny sens, nawet w najbardziej pomysłowym rozwiązaniu rytmu piosenki, pozostanie bez zmian. „Nie będziesz”.

Inna piosenka o Scapa, jest już następstwem pierwszej. Śpiewają ją marynarze, którym portowe spelunki Plymouth, Portsmouth, czy osławione Locarno w Glasgow, niejedną przykrość sprawiły. Piosenka: „Bo jeszcze nikt w Scapa przykrości nie złapał” — brzmi jak pewność, brzmi jak zaufanie. Słowem P.K.O.

Pewność i zaufanie swoją drogą, a nudy swoją. Miejscowe czyniki wysilają się na stworzenie rozrywek godziwych i interesujących w postaci programów kinowych, koncertów, czy wreszcie „parties” organizowanych przez załogi stojących tam okrętów.

W zeszłym roku stojąc w Scapa zostaliśmy zaproszeni do czynnego poparcia koncertu swoim występem: chórem rewerserskim, czy też jakimś programem muzycznym. Na okręcie mieliśmy jedną potrażaną gitarę, pięć czy sześć wątpliwie wartości głosów, no i kapelmistrza grającego na fagocie. Co można z tym zrobić? Taki ze-

spół mógłby być dobry na dwuosobowej „midget-submarine”, ale na krążownik stanowczo za mały.

—Warto by — mówił nam nasz kapelmistrz — dostosować się do poziomu i programu koncertu.

Przeraziłem się czytając program. Bethoven, Liszt, Bach, Puccini, Verdi i prawdopodobnie przez nas i dla nas — „Warsaw Concerto”. A my? ... Gitara i fagot! O! Jezu!!!

Uradziliśmy wreszcie zaśpiewać coś przy akompaniamencie gitary, ale co? Może coś z Moniuszki? Spróbowaaliśmy „Szumią jodły”. Moniuszko przewracał się w grobie, a Gaz /nasza suka okrętowa/ wsadziła łeb do amunicyjnej komory przeładunkowej nr. 2 gdzie mieliśmy swoje „studio” i wyla jak sto diabłów. Popatrzyliśmy na siebie, parsknęli śmiechem i odstąpili od „dania czegoś klasycznego”.

Wtedy to Jakub zaśpiewał „Nie będziesz”, a melodia znanej ludowej piosenki natchnęła nas myślą. Przeciętny Anglik wie o naszym Moniuszce tyle, co i o „Hej, cy to kupa gnoj”. Program mieliśmy gotowy.

W pierwszej części koncertu grały połączone orkiestry symfoniczne takich okrętów, jak: „Duke of York”, „Anson”, „Black Prince” i innych. Skład doskonały, ogółem około sześćdziesiąt osób. Śpiewał też jakiś oficer armii angielskiej uginający się jak gdyby pod ciężarem pasa koalicyjnego; potem wystąpiła jakaś, niemłoda już „sailorka” we francuskiej piosence, szpetnie wymawiając „le ziur, la nui”, ale zato sprytnie łapiąc w powietrzu wyrykające się z jej ust sztuczne szczęki i pociesznie chwytając się za „klatkę z piersiami”, co miało oznaczać gotowość oddania się na sposób francuski, tak, jak to było w piosence. Solowe występy artystów dodały nam odwagi.

W drugiej części koncertu, pomiędzy „Rapsodią Węgierską” nr. 2 Liszta i „Warsaw Concerto” nastąpił nasz występ. Wyszliśmy nieco stremowani, lecz nadrabialiśmy miną. Siedmiu hornistów angielskich odegrało „Hejnał Mariacki”. Musiałem nawet wyjaśnić angielskim słuchaczom historię „Hejnału”, lecz wątplię, czy ktoś zrozumiał moją angielszczyznę. Gerald siłą wy dobył kilka akordów z trzeszczącej pod jego pachą gitary. Popłynęła góralska piosenka „Na wójtowej ścierni, hań się tam coś cerni”, a potem cała wiązanka następnych. Żywe oklaski wyrugowały tkwiącą w nas jeszcze trzęmę.

„Święty Antoni — straciłam serce pod miedzą” z jej sentymentalnym nastrojem, przypominającym Anglikom „Jealousy”, wywołała następną burzę oklasków, a nawet gwizdów, co było dowa-

dem, że artyści zdążyli zespolic się z publicznością. I wreszcie, „Czekaj Mańka tam u chruści”, piosenka, która dała melodię „Nie będziesz”, stała się *clou* wszystkiego. Jakub piszczał, Gerald targał zawzięcie strunami gitary, Bartek przewracał niemiłosiernie oczami, a ja jak zwykle spóźniłem się w partii basowej, lecz byłbym ciągnął przepisową ilość czasu, tylko kopnięty w kostkę przez Jurka, zdążyłem urwać w porę. Oklaski ... Oklaski ... Oklaski!!! Anglikom zdawało się, że to „Ma-maju-queru” — tylko po polsku, a nam ... żeśmy zakasowali Kołaczkowskiemu na amen.

Tak to naszą „Mańkę od chruści” posadziliśmy w jednym rzędzie w czasie admirałskiego koncertu z Toscą i Carmen. I nie powstydziliśmy się jej.

To była niedziela, lecz co robić po ćwiczeniach przez resztę sześciu dni? Nudy!

Admiralicja jednak nie daje próżnować. Gdy nie ma operacji na morzu, okręty stojące w Scapa otrzymują nieraz taki sygnał od C-in-C. of Home Fleet:

—“To relieve boredom I will take the Fleet to sea for twenty-four hours” /Dla zabicia nudów, zabieram flotę na morze na dwadzieścia cztery godziny/.

Nieraz „zabijanie nudów” trwa trzy, lub cztery dni.

Anglicy są znawcami dusz ludzkich. Do najbardziej poważnych zagadnień podchodzą z ich typowym „sense of humour” /zmysłem humoru/ i dlatego „to relieve boredom” nie brzmi sztywno, ani uroczyście, raczej zachęcająco.

I wyruszamy na ćwiczenia w takiej grupie, że gdyby tak niechęć skierować działa na „malutkie miasteczko” liczące około 400.000 mieszkańców, w godzinę zostałyby tylko gruzy. Szyki, zwroty, wzajemne ostrzeliwanie się, zwłaszcza w nocy przy użyciu pocisków

oświetlających wygląda imponująco i nudy zabija naprawdę. Strzelanie do samolotów, obrona przed samolotami torpedowymi, lub ćwiczenia z okrętami podwodnymi, wszystko to składa się na miłą, choć nieraz męczącą rozrywkę. Z okrętu flagowego płyną sygnały, które nieraz wydają się nawet śmieszne.

W zeszłym roku dostaliśmy sygnał: „Podnieś jako flagę na głównym maszcie czysty, biały fartuch kucharski”. Fartuch się znalazł, lecz biel jego i czystość były wątpliwe. Śmiechu mieliśmy wiele.

Pewnego razu cała Flotylla kontrtorpedowców /8 jednostek/ otrzymała następujący sygnał: „All coxwains report aboard Flotilla Leader with one boiled egg” /Podoficerowie ewidencyjni kontrtorpedowców zameldują się na pokładzie dowódcy flotylli z jednym gotowanym jajkiem/.

Sygnał wyglądał śmiesznie, miał jednak swój cel, gdyż powodował wiele skomplikowanych czynności. Podoficer ewidencyjny musiał odszukać prowiantowego, ten z kolei musiał otworzyć magazyn, co w morzu nie jest takie proste ze względu na zasady zamknięcia przedziałów wodoszczelnych; potem jajko należało ugotować. Dalsze czynności, to spuszczenie łodzi, wiosłowanie, dobieganie do „leadera” i powrót, co przy większej fali nie jest zadaniem łatwym do wykonania. Wszystko to odbywało się w doskonałym nastroju, ku wielkiemu zadowoleniu /nie wiosłujących naturalnie/ marynarzy, których nastawienie do „coxwains” na kontrtorpedowcu, a do „Master at Arms” na większej jednostce, charakteryzuje utarte powiedzenie, kursujące w „Royal Navy”: „The best Master at Arms is a dead b ... rd”. /Najlepszym podoficerem ewidencyjnym jest ten, który już nie żyje — drań/. Może w tym jest wiele racji, gdy się zważy, że podoficer ewidencyjny jest szefem całej załogi na okręcie, a więc jakby Biczem Bożym dla niektórych.

Poza specyficznym humorem, Anglicy są jeszcze wspaniałomyślni, wielkoduszni, magnanimous — jak sami mówią.

Charakterystyczny wypadek zdarzył się na O.R.P. „Piorun”. Nie było to cokolwiek w Scapa. Flota wracała z ćwiczeń do jednego z portów, a idąc taką, jak w danej chwili szybkością, mogłaby się znaleźć w porcie dopiero około godziny ósmej wieczorem. Oficer wachtowny „Pioruna” zamierzał pojechać jeszcze tego samego dnia, odwiedzić żonę. Ostatni jednak pociąg miał o godzinie szóstej. Wpada na pomysł i do oficera wachtownego dowodzącego flotą krążownika, wysyła tej treści sygnał:

—“Could you increase revolutions? I have a date!” /Czy możecie zwiększyć obroty? Mam rendez-vous!/.

Po chwili przychodzi odpowiedź:

—“I’ll do my best” /Zrobię co tylko będę mógł/.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy „Piorun” otrzymał rozkaz:

—“Piorun” detach and proceed with utmost dispatch to harbour” /“Piorun” odłączyć się i udać się największą szybkością do portu/.

„Piorun” pokręcił maszyny i już ginał za horyzontem, gdy krążownik wezwał go znowu.

—“Who is she?” /Co ona za jedna?/ — brzmiało pytanie.

—“I don’t trust you” /Nie ufam ci/ — mrugało światło „Pioruna” w odpowiedzi.

Anglicy są naprawdę „magnanimous”.

Wracamy z ćwiczeń nieco zmęczeni, niewyspani, lecz zawsze z pewną dozą doświadczenia i większą znajomością „Mistress of the Seas”. Przychodzi niedziela, „pint” w kantine i kino.

Aż pewnego razu, całkiem niespodzianie przychodzi rozkaz, lecz zażalenie jest zupełnie inne. Tym razem nie są to ćwiczenia. Idziemy na „ostre”. Żegnamy ginące nam z oczu „Szkockie Hawaje” i śpiewamy czasem: „Nie będziesz”.

Na O.R.P. „Conrad”,
Szkockie Hawaje,
w marcu 1945 r.

STANISŁAW SIKORSKI

Skrzynka pocztowa

LIST MARYNARZA

Szanowna Redakcjo,
Proszę uprzejmie o zamieszczenie mego listu, ponieważ nie wiem w jaki sposób odpisać na anonimową przesyłkę, którą otrzymałem dnia 3-go kwietnia w 1945 r. pod moim adresem. Zwrotnego adresu nie mam, ażeby mógł odpisać na wartość tak „skromnej przesyłki”, w której była za 2s. 6d. Stanisława Grabskiego: „Nil Desperandum”.

Po przeczytaniu dokładnie takiej broszury nie dziwię się, że wysyłający wstydził się podać własny adres, ale dziwię się, że sa pieniądze na takie rzeczy. Przesyłki te otrzymało nas kilku na statku, a to kosztuje. Uważam, że można by te pieniądze zużyć na papierosy dla rannych żołnierzy w szpitalach. Ci żołnierze przelali krew za kraj ten, z którego siły zbrojne wyгнаły ich z domów, a zamieniły na obozy karne, niewole, więzienia i tułaczkę. Ci ludzie różnymi drogami dążyli, by wstąpić w szeregi Polski Walczącej i bić się o tę samą chatę i o te same strony rodzinne, gdyż to jest dla każdego człowieka najmiłsze, a dla nas to Rzeczpospolita Polska w nieznienionych granicach z roku 1939, taka, z jakiej nas wyгнаła przemoc ...

Moim zdaniem Polska to nie jest „Wóz Drzymały”, gdzie woź wóz mógł przesuwac, w jakie strony chciał. Mimo to Drzymała pokazał, jak kochał to miejsce i zwyciężył.

Polska to jest kraj ten, o którego wolność i niepodległość walczyli ludzie wielu, jak Dmowski, Piłsudski,

Paderewski, Sikorski, a pod dowództwem ducha tych Wielkich Ludzi walczyła Wester-Platte, Hel, Kutno i dwukrotnie Warszawa.

Rząd Polski w Londynie jest konstytucyjną prawną władzą, pod której dowództwem jest Marynarka Handlowa i spełnia swój obowiązek wobec Polski Walczącej.

Co do autora broszury „Nil Desperandum”, to uważam, że język morski jest za wyrazny i prosty, aby Profesorowi tłumaczyć, gdzie Polska leży, na jakiej długości i szerokości geograficznej. „Kompas” Profesora zepsuty, należy zapytać ucznia o kierunek.

Z poważaniem
J. Skorupski,
M/s Batory, G.P.O. Londyn
na pokładzie 6.IV.1945.

LIST ANGIELKI

Dear Editor,
Yesterday I received your letter enclosing £10 to be used in aid of the wounded officers of 1st Pancer Regiment.

I am very much touched by your confidence in me. I can give you my assurance that the money will be used to the best possible advantage.

We raise money in various ways for the comfort both of Polish fighting forces and of the wounded, and only yesterday, when my resources were at an end, I had decided to appeal to our Comforts Fund /Scottish-Polish Society/ to earmark a certain sum which I might use solely for wounded soldiers whom I bring

as often as possible to be cared for in sympathetic homes in Blairgowrie.

And like a miracle—before the meeting took place—your £10 arrived. When I told the members about it, they were deeply grateful, and at once decided not only to add more to it, but to start at once and build up a fund to which I might have recourse as needed.

I shall, of course, consult with Dr. Opacki, whose patients I usually have—and if you have any special way in which you wish me to use the money I hope you will let me know.

Meantime, accept my grateful thanks, and please pass on my gratitude to Mr. Hryniewiecki for the very kind thought and trust in me. It shall not be misplaced.

The utmost I can do is as nothing compared to the great debt we owe to your wonderful men and women, and as long as health and strength remain to me I shall continue to do what little is in my power to help your people—our very dear friends and allies.

And at this difficult time, if we cannot help in the big troubles, we can at least show our practical sympathy in little ways. Again, thank you.

Yours very sincerely,
Elspeth M. Monair.

The Garth, Blairgowrie,
Perthshire.
15.3.45.

Poradnik żołnierski

Ranny żołnierz.

Przepraszam Pana, że musiał Pan czekać na odpowiedź na swój list dość długo. Dużo listów nadchodzi do „Poradnika Żołnierskiego” — każdy zawiera jakieś zmartwienie i na każdy trzeba odpowiedzieć. Wszystkie listy załatwiane więc są w kolejności tak, jak nadchodzą. Niektóre jednak zapytania wymagają czasu na przygotowanie właściwej, dobrej odpowiedzi i stąd zwłoka. List Pana i opisana w nim historia jednej rodziny — wzruszyły mnie. Wiem, że to kłopotliwa pociecha, ale czy pomyślał Pan, że takich rodzin jak Pana i takich samych, a może gorszych tragedii jest setki, tysiące — setki tysięcy? Cierpimy dużo — wierzymy, że te cierpienia nie pójdą na marne. Wolność kosztuje bardzo dużo. Zgadza się z każdym zdaniem w Pana liście.

W sprawie sprowadzenia Pana matki z K — nu zasięgałem różnych informacji, niestety, na razie przynajmniej nie widzę żadnego sposobu pomożenia Panu. Możliwe, że sprawy się wkrótce wyjaśnią. Trzeba jeszcze czekać. List Pana przekazałem Wydziałowi Rodzin Wojskowych Biura Opieki nad Żołnierzem /adres: Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1/, skąd otrzyma Pan wyczerpującą odpowiedź. Przykro mi, że nie mogę Panu pomóc.

Pan S.K.

Pisze Pan, że rodzina przebywa w Ugandzie i dlatego chciałby Pan do niej pojechać po wyleczeniu z ran. Wyjazd ten jest możliwy, ale dopiero, gdy po wyleczeniu zostanie Pan zwolniony z Polskich Sił Zbrojnych i otrzyma Pan dokumenty cywilne.

O zezwolenie na wyjazd należy wnieść podanie do Polskiego Generalnego Konsulatu w Londynie /adres: 63, Portland Place, London/, który poczyni w imieniu Pana odpowiednie starania u Władz Brytyjskich. Sprawa jednak na ogół jest bardzo trudna podczas trwającej wojny i bardzo możliwe, że trzeba będzie poczekać z wyjazdem do jej zakończenia.

Marynarz W.S.

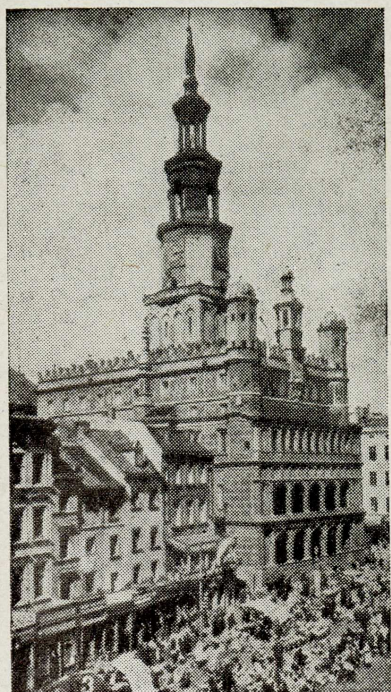
Ponieważ jest Pan w marynarce handlowej, nie jest konieczne staranie się o zezwolenie przełożonego na zawarcie zamierzonego przez Pana małżeństwa. Jest to sprawa prywatna i nikt nie może Panu zabronić zawrzeć małżeństwa, nie mniej radzę Panu powiadomić o swoich zamiarach przełożonego oficera.



TOWARZYSZ BRONI



Ratusz poznański — symbol Wielkopolski Ministerstwo Obrony Narod.



Ratusz w Poznaniu, zburzony w czasie niedawnych walk

Walec wojny, który przeszedł parokrotnie przez ziemie polskie, pozostawił po sobie ruiny i zgłiszczą. Nie wiemy, co ocalało z pożogi wojennej w Wilnie i Lwowie. Wawel i Kościół Mariacki w Krakowie są uratowane. Nie zostało natomiast z Zamku Królewskiego w Warszawie. Zaciekle walki, jakie wojska sowieckie i niemieckie ostatnio toczyły o Poznań, pierwszą stolicę historycznego Państwa Polskiego, przyniosły zniszczenie poważnej części miasta. Z pośród wielu budowli, spłonął w Poznaniu stary Ratusz, z którego ścian patrzyły przez wiele pokoleń, wizerunki królów polskich.

Gmach tego Ratusza tkwi w sercu nas wszystkich. W jego obrazie ześrodkowuje się Poznań, największe miasto przed wybuchem wojny w zachodniej polaci Kraju.

Poznań — poważny i pracowity, stolica wczesnej Polski Piastowskiej.

Do wybuchu wojny — Poznań był miastem wojewódzkim. Województwo Poznańskie zamykało w swych granicach największą część Wielkopolski, jedną z najstarszych dzielnic naszego Państwa. Wielkopolska, wśród której niw narodziła się była państwowość Lechitów, skąd wyrosła dynastia Piastów, gdzie założono pierwsze polskie arcybiskupstwo w Gnieźnie, gdzie — dziesięć stuleci temu — znajdowała się królewska stolica ówczesnej Polski.

Od krajobrazu wielkopolskiego, równinnie ciągnącego się wokoło polami, Kraj poczęto nazywać "Polską". Nie tylko więc Wielkopolska była naszą kolebką, ale i nazwę Kraju naszego wyhodowała.

Nazwa: Wielkopolska obejmowała więcej, niż Ziemia Poznańska. Leży w dorzeczu Warty, odgródzona naturalnymi granicami od Śląska, Mazowsza, Małopolski, Kujaw i Pomorza. Ku zachodowi ciągnęła się Wielkopolska poza środkowy bieg Odry, obejmując Ziemię Lubuską, położoną na lewym brzegu tej rzeki.

Jak sami pamiętacie, Poznańskie, jest to kraj równinny, pogarbiony w niektórych miejscach rzędami niskich pagórków. Ziemia w lecie, zielona na wiosnę, a wielobarwna od lasów bukowych jesienią — Ziemia Poznańska obejmuje wiele pięknych jezior, z których Gopło osnute mgłą baśni, stało się dla wielu poetów wątkiem natchnienia.

Przypomnijcie sobie, jak to bywało u Was w domu, w Poznańskim. Było dostatnio i dobrze. Nie dziwne, iż Niemcy, od stuleci znani światu ze swoich zamierzeń zaborczych, od stuleci też sięgali po żyzną Ziemię Poznańską, po wielkopolskie niwy i legi, by je wcielić siłą do Rzeszy.

Lud poznański okazywał się w wytrzymalszy nad wszelką przemoc. Nie dał się Niemcom ani wynarod-

dzić, ani wysadzić z ziemi. Nie uległ nawet germanizacji za pośrednictwem religii we wrogim języku. Nakaz odmawiania pacierza po niemiecku — doprowadził do głośnego na cały świat bicia dzieci polskich we Wrześni, za to, że nie chciały odmawiać pacierza w obcej i nienawistnej im mowie.

A bohater narodowy, Drzymała? Niemcy wydali przepis, że nie wolno stawiać domu bez zezwolenia policji. Polakom takiego zezwolenia nie dawano. Drzymała poradził sobie z tym zakazem dość prosto. Nabył mianowicie wóz mieszkalny i zamieszkując w nim, w ten sposób obszedł niemiecką szykanę i pozostał na ziemi ojców.

Postacie takich synów Ziemi Poznańskiej, gorących i twórczych społeczników, jak ks. Wawrzyniak i Dr. Marcinkowski — są własnością całego narodu.

Wielkim czynem zbrojnym było powstanie wielkopolskie, które rozpoczęło się w trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia, 27 grudnia 1918 roku, wyrzucając Niemców w otwartym boju z odwiecznej polskiej ziemi.

Chociaż spłonął Ratusz w Poznaniu, choć Niemcy terrorem i zbrodnią, wysiedlaniem i grabieżą, starali się zniszczyć polskość tej ziemi — jej polskość żyje, i żyć będzie, bo jest wieczna, osiadła i ukształtowana więcej niż przed dziesięciu wiekami.

W niedawnych walkach o Poznań, zniszczeniu uległ też i dawny zamek cesarski. Tej budowli nikt nie odbuduje. Nie jest ona nikomu potrzebna, a szpeciła obcym stylem to, tak szczerze polskie miasto.

Zaś Ratusz Poznański po odbudowie znów będzie spoglądał wizerunkami królów polskich, błogosławiąc narastające pokolenia. Czuwać będzie i trwać po dawnemu na straży zachodniej polaci Kraju. Kolebki naszego narodu. Narodu, którego żadna siła, ani podbie, ani ujarzmić na trwałe nie jest w stanie.

Naczelne Dowództwo zajęte jest operacyjnym wykorzystaniem przygotowanego do boju żołnierza. Sztab Naczelnego Wodza, jako organ wykonawczy Naczelnego Wodza, planuje działania wojenne, uzgadnia je z Sojusznikami, organizuje całość Polskich Sił Zbrojnych z punktu widzenia ich użyteczności bojowej na teraz i na przyszłość.

Ministerstwo Obrony Narodowej, z Ministrem Obrony Narodowej na czele, zajmuje się sprawami bezpośrednio związanymi z przygotowaniem i zaopatrzeniem Sił Zbrojnych do akcji.

Na czele tego, najbliższego nam, żołnierzom, Ministerstwa stoi Minister Obrony Narodowej. Obecny kierownikiem Ministerstwa jest generał dywizji Marian Kukiel. Poprzednikiem gen. Kukieła jako Ministra był ś.p. generał broni Władysław Sikorski.

W Polsce, po odzyskaniu niepodległości w roku 1918, zrazu to było Ministerstwo Wojny. Potem nazywało się Ministerstwem Spraw Wojskowych, aż do pierwszych lat naszego pobytu na obczyźnie.

Minister Obrony Narodowej, jako resortowy minister, zasiada w Radzie Ministrów. Reprezentuje w niej sprawy, związane z wojskiem, marynarką i lotnictwem.



gen. dyw. Marian Kukiel, kierownik Ministerstwa Obrony Narodowej

Jest on też za stan Sił Zbrojnych z tytułu swego urzędu politycznie odpowiedzialny.

Rząd R.P. znajdując się poza Krajem i ani na chwilę nie przerywając walki z wrogiem, postawił sobie jako zadanie pierwszoplanowe "organizowanie Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie, dla dalszej walki z wrogiem".

Więc też Ministerstwo Obrony Narodowej stało się ważnym organem odbudowy Sił Zbrojnych.

Armia Polska na Wschodzie

Gdy przeglądacie w obozach w Szkocji niektóre wydawnictwa Polskich Sił Zbrojnych, to nieraz wpadną Wam w oko trzy litery APW stojące przy nazwie pisma. Ten to tajemniczy skrót oznacza Armieję Polską na Wschodzie, a przeglądane przez Was wydawnictwo niewątpliwie pochodzi "stamtąd" — to jest ze Wschodu.

Dzieje Armii Polskiej na Wschodzie są całkiem odrębne od innych części Polskich Sił Zbrojnych. Wiąza się one nierozdzielnie z osobą obecnie pełniącego obowiązki Naczelnego Wodza — generała Władysława Andersa.

Jak wiemy, w czerwcu 1941 roku Rzesza Niemiecka zaatakowała swego dotychczasowego sojusznika i współnika — Rosję Sowiecką. Wówczas generał Sikorski, jako Premier Polski, zawarł dnia 31 lipca 1941 roku umowę ze Związkiem Sowieckim, w której wyniku podpisany został układ wojskowy. Ten to układ stał się podstawą dla organizacji suwerennych Polskich Sił Zbrojnych w Związku Sowieckim. Wówczas, w Związku Sowieckim było wielu Polaków, bądź jeńców wojennych, bądź zesłańców do obozów pracy, bądź też deportowanych z miejsc zamieszkania w Polsce. Dowódcą tworzących się Sił Zbrojnych, Naczelnym Wódcą — mianował generała Władysława Andersa, który był od jesieni 1939 roku sam więziony jako jeńiec wojenny Rosjan.

Przystąpiono do tworzenia nowych wielkich jednostek. Zapal wśród Polaków, powołanych do Rosji, był olbrzymi. Gorąco garnęli się oni do własnego wojska. A wyłaniały się przy tym raz po raz trudności. Wykonywanie obustronnie podpisanego układu stało się dziwnie opieszale. Dawał się we znaki brak sprzętu i żywności.

Z miejsc postoju

W jednym z obozów w Szkocji, odbył się w dniach 17 i 18 kwietnia 1945 roku Zjazd Harcerzy i Harcerzy, zorganizowany przez Chorągiew Wojskową Związku Harcerstwa Polskiego w Wielkiej Brytanii. W Zjeździe wzięli masowy udział harcerze wojska, marynarki i lotnictwa, oraz harcerki — ochotniczki PWSK. W oficjalnej części Zjazdu brał udział gen. Janusz Głuchowski, Dowódca Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii, który powiódł był między innymi:

"Na Was, harcerze, spoczywa

W listopadzie 1941 roku żołnierzy było 45 tysięcy, a porcyj żywnościowych dla całości — 30 tysięcy.

W grudniu 1941 roku odbywa się na Kremlu konferencja generała Sikorskiego ze Stalinem. Wojsko polskie w Związku Sowieckim ma dojść do stanu 96 tysięcy głów. Oprócz tego, 25 tysięcy żołnierzy ma zasilić jednostki na Bliskim Wschodzie.

Jednak i to porozumienie, jak wiele układów w dziejach tragicznego sąsiedztwa Rosjan z Polakami, nie doczekało się pełnego wykonania. Szczególnie ciężką dla wyróżniających ochotników-żołnierzy, wysiedleńców i katorżników, staje się zima 1941 roku. Grasuja choroby. Tyfus zbiera straszne żniwo, zrozumiacie w kiepskich warunkach zakwaterowania, przy lichym odżywianiu i niedostatecznym umundurowaniu. Żołnierz jednak przetrzymał to wszystko pod hasłem: "Wytrwamy — dojdziemy — zwyciężymy".

W marcu 1942 roku wojska jest 75 tysięcy. Władze sowieckie znów ograniczają porcję żywnościową do 44 tysięcy. Nadwyżka stanu ma być ewakuowana na Bliski Wschód. Pod koniec marca tego roku — 44 tysięcy żołnierzy udaje się do Iranu. W parę miesięcy później, w sierpniu, z inicjatywą władz sowieckich, odbywa się dalsza ewakuacja, również do Iranu.

Żołnierz polski, wyratowany od nieuchronnej śmierci znalazł się na Bliskim Wschodzie. Tam został jak należy odziany, przebrany i przeorganizowany. Po wchłonięciu Brygad Karpackiej, i tamtejszych ośrodków zapasowych — w roku 1942 powstała Armia Polska na Wschodzie — największy na obczyźnie ośrodek polskiego wysiłku zbrojnego.

Na wsi w Szkocji

Szkocja, jak wszystkie kraje zachodu Europy, nie ma wsi w polskim znaczeniu tego słowa. Przyczyną tego jest niewątpliwie inny rozwój stosunków rolnych, większe uprzemysłowienie tutaj, a chyba i nie w najmniejszym stopniu wybitny rozwój dróg komunikacyjnych i środków transportowych. Być może, wpływa też na to i klimat, całkiem różny, oraz odmienna od naszej produkcja rolna, warunkowana nie tylko klimatem, ale i glebą.

Kiedy po zajęciach udajecie się na przechadzkę, a deszcz, który jest niemal nieodłączną częścią szkockiego krajobrazu, w tym Wam nie przeszkadza, zauważycie łatwo, iż więcej tutaj pastwisk, niż u nas. Na pastwiskach zaś, gdzie okiem tylko sięgniesz, pasą się barany i owce, najczęściej większymi stadami. Pastwiska obejmują poważną część przestrzeni tego kraju.

Z owiec strzyże się wełnę, z której wyrabia się przedziwo, będące w wielkiej cenie ze względu na jakość. Wełna tutaj znana była od dawien dawna, stając się podstawowym materiałem odzieżowym. Z niej po dziś dzień wyrabia się "tweed", słynne samodziły.

Poza miastami i osadami fabrycznymi, nie często spotyka się w terenie większe skupienia domostw. Trzeba tu więcej przyczyn, niżli gdzieindziej, żeby się domy zebrały razem. Dzieje się to tylko wtedy, gdy chodzi o historyczną miejscowość, interesującą turystycznie, położoną nadomiar przy popularnym szlaku komunikacyjnym, przy kościele, czy też przy mniejszym zakładzie prze-

mysłowym, jak — powiedzmy — kamieniołomy, cegielnia, szklarnia, bądź tartak. Na ogół kraj ten odznacza się samotnymi gospodarstwami, czyli farmami, rozrzuconymi tu i ówdzie po okolicy, nie rzadko na wyższych wznesieniach.

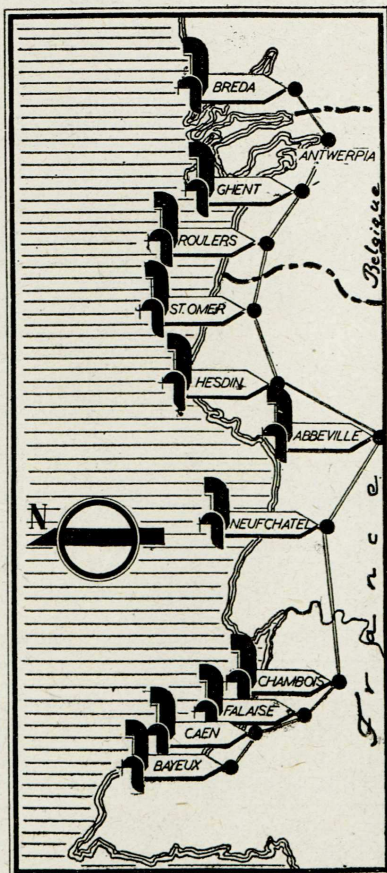
Taki "farmhouse" żyje własnym życiem i wydaje się być całkowicie wystarczający dla zamieszkałej w nim rodziny. W większości kraju "farmhouse" jest zelektryfikowany. Niektóre okolice północne mają dopiero niedługo elektryczność otrzymać. Toczy się bowiem o pełne zelektryfikowanie Szkocji publiczna rozprawa w dziennikach. Projektowaną elektryfikację proponuje się oprzeć na "białym węglu" — wykorzystując spadek wód w Highlandach, czyli w górzystych okolicach Szkocji, położonych bardziej na północ.

Farma jest zazwyczaj dostatnia, chociaż na północy ma charakter uboższy. Uprawiający rolę, są przeważnie długoletnimi dzierżawcami, a nie jej właścicielami. Z wyjątkiem niektórych, ciepłych dolin, brakuje farmom szkockim sadów owocowych, które zazwyczaj otaczają zabudowania gospodarskie w Polsce. Natomiast, codzienne życie rolnika w Szkocji, czy w Polsce, jest podobne.

To też rozumiemy dobrze i gruntownie może farmera szkockiego. A i Szkot z farmy — stara się, jak może najlepiej, nas zrozumieć. I to pomimo, iż czasami niewiele wie o Polsce. Sposób myślenia i odczuwania rolników jest bliźniaczy, gdziekolwiekby się oni nie znajdowali. Być może — to jest jedno ze źródeł przyjaźni szkocko-polskiej.

Szlak Pancernych

Wiadomo Wam z gazet, że polska Dywizja Pancerna walczy w tej chwili na ziemi niemieckiej. Droge do ziemi wroga wyrabiała ona sobie zbrojnym pochodem przez Francję, Belgię i Holandię. Rysunek poniżej przedstawia ten szlak, wskazując jego najważniejsze etapy. Może wśród ich nazw znajdziecie miejsca zapamiętane z własnych przeżyć.



W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni" winien docierać do wszystkich.

KONKURS

Biuro Opieki nad Żołnierzem M.O.N. ogłasza konkurs na zaprojektowanie tytułów dziesięciu /10/ broszur do Biblioteki Żołnierskiej, mogących interesować najszersze masy żołnierskie.

Warunki konkursu:

1/ projekt powinien zawierać tytuł jednej broszury,
2/ tytuł wolno wyjaśnić w trzech krótkich zdaniach.

3/ tematy mogą być różne z wyłączeniem tematów nadających się do rozpraw naukowych lub podręczników do nauki i do rozpraw ściśle politycznych oraz takie tematy, by treść broszury, która później będzie opracowana przez wybranych autorów, mogła być ujęta najwyżej na 30-tu stronicach maszynopisu,
4/ za najlepsze projekty są wyznaczone nagrody:

jedna w wysokości ... £10
dwie po ... £5
dziesięć po ... £1

5/ projekty będą podlegały ocenie Komisji /jury/ wyznaczonej przez Szefa Biura Op. nad Żoń.

6/ w konkursie mogą brać udział wyłącznie szeregowi,
7/ projekty należy nadsyłać listami do Biura Opieki nad Żoń. Wydział Prac Kult.-Ośw., Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1 w terminie nieprzekraczalnym do dnia 31 maja 1945. Do listu należy dołączyć w zamkniętej kopercie kartkę z podaniem nazwiska, imienia, stopnia, przydziału służbowego i adresu.

KONCERT WITOLDA MAŁCUŻYŃSKIEGO

Znakomity pianista polski, Witold Małcużyński, grać będzie w Dundee w Card Hall'u w piątek dnia 27-go kwietnia o godz. 7-ej wieczór. Specjalny statek z Dundee do Newportu odejdzie po koncercie o godz. 9,25 wieczorem.

NA FUNDUSZ GEN. BORA

W załączeniu przesyłam kwotę 10/- /dziesięć szylingów/ na Fundusz Im. Naczelnego Wodza Gen. Bór-Komorowskiego Tadeusza i wzywam wszystkie Polki do składania darów pieniężnych na rzecz tysięcy Polaków, dzieci i kobiet ostatnio wyzwolonych z pod jarzma tyranii niemieckiej.

Znajdują się oni w strasznych warunkach, głodni, bez ubrań — pozbawieni wszystkiego.

Naszym obowiązkiem jest zrobić wszystko, aby im pomóc.

Z wysokim poważaniem.

Sonia Rejniak

Odmawiając sobie wzięcia udziału w libacji i doceniając znaczenie i cel Funduszu Im. Naczelnego Wodza Gen. Bór-Komorowskiego Tadeusza, mającego służyć przede wszystkim na niesienie pomocy w Kraju — składam na dzieci kwotę 9/- /dziewięć szylingów/.

St.S. plut.

Dziękując Bogu za szczęśliwie udaną operację przeprowadzoną przez p. dr. Magiera Tadeusza, dnia 11 bm. w Szpitalu Wojennym Nr. 4 — składam na Fundusz Im. Naczelnego Wodza Gen. Bór-Komorowskiego Tadeusza kwotę £1 /jeden funt/.

Kapr. F.G.

ZWIĄZEK KOLEJARZY POLSKICH W W. BRYTANIJ
zwoluje na dzień 5 maja 1945 godz. 5 pop. w lokalu przy Hans Place nr. 20

ZEBRANIE INFORMACYJNE na które zaprasza Członków przebywających w Londynie lub w okolicach Londynu. Dojazd autobusami nr. 19, 22, 137, do przystanku Pont Street, lub kolejką podziemną do stacji Knightsbridge lub Sloane Square.

NA POMOC WARSZAWIE

Dear Sir,

I should be very glad if you will accept the enclosed cheques £3.0.9 from the Bolton Business Professional Women's Club and £4.5.0 from the Bolton Soroptimist Club for the "Help to Warsaw Fund".

They are the result of collection taken after a very interesting show of Polish Films by Flight-Lieut. Stepowski, of the Technical College, Bolton.

We were very much indebted to him for several interesting lectures, and have great pleasure in making those small subscriptions.

With our best wishes for the future of your country,

I am,

Yours faithfully,

Marjorie V. Wood

Kwotę 3 sh. nadesłaną przez p. Bańskiego na pokrycie kosztów przesyłki książek, redakcja przeznacza na pomoc Warszawie.

Załączam przy niniejszym £1 z przeznaczeniem: 10 sh. na pomoc Warszawie i 10 sh. na jeńców polskich uwolnionych z Niemiec.

Krystyna Lubieńska

NA FUNDUSZ WDÓW I SIERÓT PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14 WLKP. DYW. PIECH.

Załączam P.O. na sumę £1, którą J. Eksceleńca Ks. Biskup Sawa za moim pośrednictwem przekazuje z kasy Kaplicy Prawosławnej na "Fundusz wdów i sierót po poległych żołnierzach 14 Wlkp. Dyw. Piech."

Z poważaniem

A.J.S.

Inicjator Funduszu

NA P.C.K.

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £6.10.0 /słownie: sześć funtów, dziesięć szylingów/. Kwotę tę Ob. Szk.-Rozdz. "B" przeznacza na P.C.K.

Ofic. Gosp.

NA RADIOODBIORNIK DLA OCIEMNIAŁEGO ŻOŁNIERZA

Załączam "British Money Order" Nr. 24525 na kwotę £6 sh.5.

Kwota powyższa została zebrana samorządnie przez 2-gi Kurs Podoficerów Rachunkowych w Gifford.

Intencją ofiarodawców jest zakupienie radioodbiornika dla ociemniałego żołnierza.

Kierownik Kursów,

Powyższa kwota została przekazana do Koła Opieki nad Żołnierzem.

NA POLAKÓW UWOLNIONYCH Z NIEMIEC

W załączeniu przesyłam £1 na fundusz pomocy Polakom uwolnionym z Niemiec, złożony przez st. ogn. A.K. w dniu jego odejścia z Ośrodka Szkolenia Oficerów.

D-ca Plutonu Gospodarczego O.S.O.

Krystyna Lubieńska

10 sh. na jeńców polskich uwolnionych z Niemiec.

Krystyna Lubieńska

ORGANIZACJA POLITYCZNA "NIEPODLEGŁOŚĆ I DEMOKRACJA"

Dnia 30 kwietnia o godz. 18,45 odbędzie się w Alliance Hall, Caxton Street, S.W.1 /dojazd kolejką do stacji St. James Park/ zgromadzenie publiczne pod hasłem: "KRAJ I EMIGRACJA". Przemawiać będą: Jerzy Jur, Andrzej Pomian, Bolesław Wierzbiański. Wstęp wolny.

Dyvizjon Ziemi Śląskiej /Obrony Wybrzeża/ zawiadamia, że ze względu na służbowych — tegoroczny obchód "Święta Dywizjonu" w dniu 24 kwietnia odbędzie się tylko w ramach najskromniejszych, dostosowanych do przeżywanej chwili obecnej. Specjalnych zaproszeń wysyłać się nie będzie.

Spis Polek zwolnionych z niewoli niemieckiej przez 1 Dywizję Pancerną jest ogłoszony na łamach "Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza".

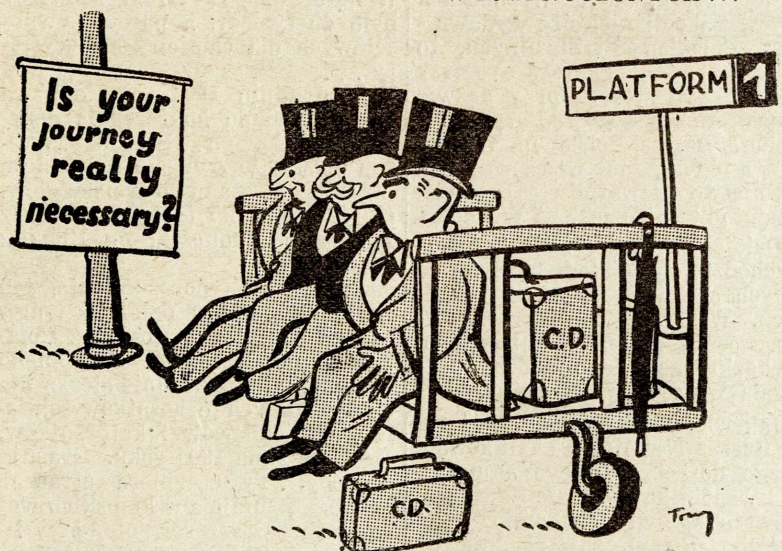
Żołnierze Sił Zbrojnych, którzy w tym spisie odnajdą członków swojej najbliższej rodziny /żona, dzieci, rodzeństwo, rodzice/ zechcą podać o tym kartą pocztową do: Wydziału Rodzin Wojskowych Biura Opieki nad Żołnierzem M.O.N. — 1, Vandon Street, London, S.W.1, podając: swoje nazwisko, imię, stopień i adres oraz nazwisko, imię i inne dane personalne /data i miejsce urodzenia lub przypuszczalny wiek/ członków rodzin odnalezionych w spisie. Ewentualne wątpliwości co do tożsamości tych osób należy w tym meldunku wyjaśnić. Meldunki te potrzebne są Wydziałowi Rodzin Wojskowych dla celów ewidencyjnych.

Wobec zapytań napływających pod adresem Biura Opieki nad Żołnierzem M.O.N., w sprawie żołnierzy polskich — jeńców wojennych w obozach na terenie Niemiec, zwalnianych przez Wojska Sprzymierzone, zawiadamiamy, że wykazy imienne tych żołnierzy nie będą publikowane. Interesujący się poszczególnymi jeńcami winni zgłaszać się z zapytaniem do biura Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża, które prowadzi ewidencję jeńców i będzie mogło udzielić potrzebnych informacji.

WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

DELEGACI MAŁYCH NARODÓW ZJEDNOCZONYCH ...



... w oczekiwaniu na pociąg do San Francisco ...

WYJAŚNIŁ

Amerikanin pyta Anglika:
—John, powiedz mi dlaczego wy nie idziecie wgląd Rzeszy?
—Ponieważ my nie znamy języka angielskiego ...

DROBNE OGŁOSZENIA

Poszukuję pokoju w Europie z ładnym widokiem na świat. Zgłoszenia pod: "Marzyciel".

POKÓJ A ZIEMNIAKI

Szef kompanii wpada do świetlicy i widzi swych żołnierzy przy aparacie radiowym.
—Co wy tu robicie?
—Słuchamy radia, panie szefie, bo może zapowiedzą koniec wojny! ...
—Głupstwa gadacie! O zakończeniu wojny dowiedzie się z rozkazu, a teraz biegnijcie do kuchni i skrobać ziemniaki! ...

ZAZDROŚĆ

Na widok zniszczeń w Kolonii, jedna z Angielek odzywa się do sąsiadki w kinie: — Ci Niemcy wydają lepiej na wojnie, niż my — będą mieli przynajmniej nowoczesne domy i mieszkania ...

SCIANOSKROBY

W związku z ukazaniem się gazetek ściennych w obozach w Szkocji, dawne hasło: "Nie pisz po ścianach!" — przestało obowiązywać ...

TRAFNE PYTANIE

—Tatusiu, czy każda wojna nerwów kończy się też pokojem nerwowym?

PRZEWIDYWANIA

W San Francisco czynione są gorączkowe przygotowania, ażeby konferencja wypadła jak najlepiej. Obecnie w gmachu konferencyjnym instaluje się kaloryfery! ...
—Po co? W San Francisco?! ...
—Na wypadek, gdyby powstał chłodny nastrój ...

W OKUPOWANEJ RZESZY



—Gdzie kogut od tej kury?
—Został zmobilizowany, pracuje w wysiłku wojennym ...

UCIEKINIERZY ...



—Dlaczego Hitler każe nam uciekać?
—Trudno, musimy ratować czy stość rasy ...

NA WSZELKI WYPADEK

—Pan czytał, że do San Francisco ma również wyjechać delegacja ginekologów?
—A to w jakim celu?!
—Bo konferencja może być poroniona ...

MAŁY PRZYRODNIK

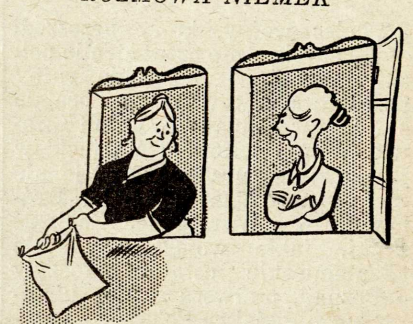
—Mamusiu, to w San Francisco nie rosną palmy?
—Ależ dlaczego, właśnie że rosną!
—To ciekawe, bo rano jak tatusz czytał gazetę, to powiedział: tam jest wielka lipa! ...

PO ZAJĘCIU WIEDNIA



... Obecny "Wiener Walz" ...

ROZMOWA NIEMIEK



—Ci Amerykanie to wcale zgrabni chłopcy! Niech pani też wypieści białą flagę. Trudno dłużej bronić się, które który z nich przyjdzie ...

NA SAMĄ WIADOMOŚĆ

—Widzi pan, jak tylko Turcy weszli do wojny, to już Wiedeń się poddał ...

DOBRY SCHOWEK

—Wie pan, gdzie Hitler chce się ukryć?
—???
—U swych rodziców ...
—Gdzie??
—Na cmentarzu w Górnej Austrii ...

PRZEWIDYWANIA

—Mówią, że miasto San Francisco zakupiło kilkadziesiąt różowych okularów dla członków konferencji.
—Rozumiem: ażeby wyniki konferencji widzieli na różowo ...

DOBRA OBSERWACJA

Amerikanin po powrocie z frontu:
—W Niemczech jeszcze nie jest tak źle jak przypuszczaliśmy. Z każdego okna zwisa albo białe prześcieradło, albo obrus ...

Tekst i rysunki: TONY

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE?

ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT

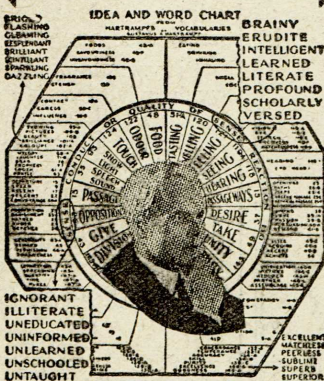
DESTROYS GERMS

AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT

Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

NAJWIEKSZY
WYNALEZAK
OD CZASU
ALFABETU



Żadaj
wykresu!

PEWNOŚĆ UŻYCIA WŁAŚCIWEGO SŁOWA

To wspaniałe "zestawienie zwrotów i słów" jest bezcennej wartości dla wszystkich posługujących się angielskim językiem. Proste i łatwe w użyciu, ułatwia znalezienie właściwego wyrażenia. Słowa i zwroty masz gotowe pod ręką. Gilbert Frankau pisze: "Najlepszy pomocnik, jakiego kiedykolwiek odkryłem — nie opuści już nigdy mego biurka." Nadesłaj znaczek pocztowy 1d. za egzemplarz.

PSYCHOLOGY PUBLISHING Co., Ltd. (Dept. PW/HV3)
Psychology House, Marple, Cheshire.



ORBIS (London) Co.
dawniej M. I. KOLIN (Publishers) Ltd.
KSIEGARNIE POLSKIE

w LONDYNIE: 9, NEW OXFORD STREET, W.C.1. Tel.: HOL 0868.

w EDYNBURGU: 31a, CASTLE STREET. Tel.: 24705

posiadają na składzie wszelkie polskie nowości wydawnicze, książki angielskie dotyczące zagadnień polskich, nuty, podręczniki szkolne oraz dzienniki i czasopisma polskie. 326

SPIS RZECZY:

Jan Kurzawa: Polacy w Niemczech. — Dwa apele. — Zastępca: Przegląd tygodniowy. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Z tygodnia na tydzień. — Zbigniew Grabowski: Straszne odkrycia. — Stefan Kossak: W uwolnionym obiezie. — Jerzy Bazarewski: Nad rzeką hiałych min. — Eugeniusz Romiszewski: Z nieba na niebo. — Stanisław Sikorski: Scapa — te Szkockie Hawaje. — Skrzynka pocztowa. — Poradnik żołnierski. — "Towarzysz Broni". — Tony: Werinajsek. — Fotografie. — Mapy.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6 d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walczaca" by St. Clements Press, Ltd., Portu gal St., Kingway, W.O.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
Increased my own height to 6ft. 3 1/2 ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances—No Tablets—No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialists, BM/Hyte, London, W.C.1